



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — (W tej summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocz 8 guldenów albo 5 talarów

Treść Numeru. Kilka kartek z pamiętnika podróży odbytej latem r. 1869 przez Felicjana. — Listy o literaturze i młodych literatach warszawskich. — Młot i kowadło, Romans w trzech częściach Fr. Spielhagena przełożył z niemieckiego Michał Gliszczyński. — Przygrywka samemu sobie (wiersz). — Przegląd literacki, artystyczny, teatralny i różne wiadomości. — Mody.

KILKA KARTEK

Z PAMIĘTNIKA PODRÓŻY ODBYTEJ LATEM R. 1869.

przez Felicjana.

(Dalszy ciąg).

Na samym końcu katedralnego podwórca, znajduje się jeszcze kościółek *S-tój Ludmiły*, naiwnością stylu przypominający Panję Marię z Nowego Miasta. Boczna, znacznie już później przybudowana, bardzo ozdobna kaplica, mieści tam w sobie szczątki męczennicy, złożone w marmurowym sarkofagu. Wytworzona balustrada brązowa otacza z czterech stron leżącą w pośrodku postać świętej. Ściany okryte są malowidłami i sutą rzeźbą z kamienia.

Na tem zakończymy przegląd Burgu.

Druga część Hradszyna przedstawia ogromny dziedziniec z ogrodem w pośrodku. Znajdują się tam prawie wyłącznie rezydencje dostojników kościoła. Z jednej strony pałace arcybiskupi, z drugiej kardynała Szwarzenberga — dalej zaś kanonie z Toskańskim pałacem w głębi. Ztamtańd wyżej, coraz wyżej idąc, po przez Loretto, dochodzi się do klasztoru Kapucynów, a ztąd wreszcie na najwyższe ponad miastem wzniesienie, na którym króluje pustelnia Premonstratensów, zwana *Stift - Strachow*, niezmierny w swoim rodzaju ogrom, podobny do średniowiecznej twierdzy.

Ale oto stańmy lepiej na chwilę przy balustradzie zamkowej, w miejscu gdzie się kończą szerokie granitowe schody, prowadzące z miasta aż na sam szczyt Hradszyna.

Naprzód, na najwyższym cyplu tuż naprzeciw, piętrzy się ów *Stift-Strachow*, w pośród niepolitego labiryntu krąganków, z grobowcem *S-go Norberta* na szczycie. Stoki wyniosłości, którą on przyozdabia, są jednym ogromnym ogrodem z odwiecznymi drzewy, po za którym bieleje zębaty łańcuch murów miejskich, uwieńczonych w górę *Bramą Królewską*, w stronę zaś przeciwną zbiegających aż ku części miasta nadbrzeżnej, zwaną *Klein-Seite*. W dole, miasto jak na dłoni, z tysiącem zaokrąglających się w amfiteatr wież, bram, szczytów, błyszczących dzwonnice, wytwornych gmachów, ozdobnych rynków, ulic i ogrodów, ze wspaniałymi wreszcie wybrzeżami, w pośród których Mołdawa cicha, dwoma mostami w pasie spięta, miga słonecznymi odblaski, — a po za tem wszystkim, do koła, wieniec gór uśmiechają-

cych się willami, coraz wyższych, coraz fantastyczniej zębatach, aż do tych groźnych krawędzi na północno-wschodzie, które są szansem przedzielającym Czechy od Górnego Szląska.

Jest to widok tak piękny, że się na nim rozpróżniać można. Podziwiałem go w najrozmaitszych porach, — zawsze z równym zachwytem. Praga jest miastem niemaliej wspaniałości.

Jak powiedzieliśmy, dwa mosty łączą *Klein-Seite* z Miastem Starem. Z tych jeden, niemal na równi z Hradszynem, stanowi skarb narodowy Czech całych. Z niego to bowiem w r. 1385, z rozkazu Cesarza Wacława, spełniono męczeństwo *S-go Jana Nepomucena*, przyjętego odtąd za patrona Pragi. Cały jest z kamienia — budowano go lat sto pięćdziesiąt. Spoczywa na szesnastu arkadach, których słup każdy zdobny jest ze stron obu grupami posągów nie rzadko złożonemi z kilkunastu postaci. Są tam nawet dzieła niepospolitej dłuta wartości. Do takich śmiało zaliczyć można posągi *ŚŚ. Wacława, Norberta i Zygmunta*, będące roboty Józefa Maksa. W miejscu zład Święty został w rzekę strącony (za to że nie chciał zdradzić spowiedzi królowej), umieszczona jest tablica marmurowa ze stosownym napisem; w górze zdobi ją wielki pierścień brązowy nakształt glorioli o pięciu promieniach zakończonych misterne mi latarniami, w których nocami płonie zawsze światło czerwone, twierdzi bowiem legenda, że kiedy się troskano o wynalezienie zwłok męczennika, zdradziło je w ciemności pięć gwiazd krwawych otaczających jego skronie. Po przeciwniej stronie tej tablicy, stoi brązowy posąg świętego, z płaskorzeźbami u podnóża, — pochodzi on z 17-go wieku i jest dziełem jakiegoś Norymberskiego rzeźbiarza. W połowie Maja była tu ogromna uroczystość, na którą schodzili się pielgrzymi z Czech całych, Morawii, a nawet z Węgier i Szląska. Oba krańce pomienionego mostu strojne są w potężne bramy, służące niegdyś do jego obrony; z tych, znajdująca się po stronie Starego Miasta, zdobna w posągi Karola IV i Wacława, osobiście bywała widownią krwawych zająć dziejowych. Na jej to górnym krąganku, po morderczej bitwie pod Białą Górą długi czas wystawione były głowy poćcinanych magnatów.

O ile most ten *S-go Jana* powagą swoich wymiarów, poczerńnięciem pleśnią wieków pozorem, nareszcie tysiącem łączących się do niego wspomnień, konieczne o przeszłości dumać skłania, — o tyle znajdujący się w górze rzeki most drugi, swawolnie przerzucony w powietrzu, wykwinny w kształtach, leciuchny jak nie pajęczka, zdaje się tylko do użycia chwili obecnej zachęcać. Jakoż, jedyne miejsce którem

się on w środku samym ziemi trzyma (a ma on coś do tysiąca stóp długości), jest oraz zejściem w dół ku najczarowniejszej jak sobie wyobrazić można przechadzce, będącej cienistym ogrodem, oblanym zewsząd przez Mołdawę. Jest to tak zwany *Gaj Strzelecki*. Nieco znowu dalej, w pobliżu już Nowego Miasta, i połączona z niem osobnym mostem drewnianym, znajduje się, podobna do tej, tylko jeszcze zbytkowniej jeśli być może, urządzona wyspa, zwana *Zofią*. Na obu wytwornie urządzone kioski, mieszczą w sobie obszerne przedsionki dla gości, galerje dla orkiestry, sale do tańca. Nic rozkoszniejszego, jak widok ożywiony tych miejsc zabawy, w pośród rześkiego oświetlenia wieczornego, w pogodną noc letnią, przy dźwiękach owej muzyki Czeskiej, będącej najpierwszą w świecie. I jeszcze za te cuda nie płaci się tu nic, tylko to co się zje lub wypije.

Od *Zofii* aż do samego niemal mostu św. Jana ciągnie się jedno z najwspanialszych jakie znam wybrzeży, będące nieprzerwanym szeregiem pałaców, przesadzających się w architektonicznym zbytku. Najpiękniejsza to może (po dzisiejszemu) część Pragi. W samym jego środku, w ozdobnym otoczeniu z drzew i krzewów, ponad wodozbiorem z licznymi wytryskami, wznosi się dziergana na przestrzał piramida gotycka, osłaniająca wkleśłem sklepieniem brązowy posąg konny Franciszka I. Niżej u czterech węglów podstawy posągu, stoją cztery symboliczne postacie, wyobrażające naukę, sztukę, przemysł i handel; — prawie zaś już na wysokości widza, choć jeszcze na wzniesieniu, szesnastu innych, w ubiorach narodowych rozmaitych Czech okolic. Posągi wszystkie dłuta są Józefa Maksa, pomysł zaś całości Krannera. Wybrzeże samo, jest bardzo szerokim, wysadzonym drzewami bulwarem o granitowej krawędzi, z ozdobną balustradą. Łatwo sobie wyobrazić jaka tam rozkoszna przechadzka — zwłaszcza że co krok znaleźć można ławkę wygodną.

Na przeciwnym krańcu wybrzeża, to jest na prost bramy mostu św. Jana, stoi znowu w gotyckiej niszy brązowy posąg Karola IV, postawiony tu na pamiątkę pięćsetletniej rocznicy istnienia Pragskiego Uniwersytetu. Jest on kolosalnych wymiarów i na bardzo wysokim wzniesieniu, odlano go zaś z modelu Hähnela. Nawiasem mówiąc, wspomnienie Karola IV zdaje się największą w Pradze używać popularności. Mnóstwo tu miejsc noszących jego nazwę — niedaliej jak pomieniona brama mostowa, a podobno i sam most kamienny. Od niego również nazywa się wzmiankowane wyżej przedmieście Karlina, a także i zabudowania Uniwersyteckie znajdujące się w najstarszej części miasta (Carolinum). Nawet w ulicy

wiodący z Hradczyna ku mostowi, widziałem dwie potężne stojące obok siebie kamienice, jak się zdaje hotele, z których na jednej błyszczał napis: *U Karla Czwartého*, a na drugiej: *u Otakara Druheho*. Ale wróćmy do opisanego powyżej pomnika. W miejscu tem, w głąb miasta idąc, rozpoczyna się ogromna przestrzeń, zapelniona jednym nieprzerwanym ciągiem poczerniałych wpływem czasu budowli, z kościołami na dwóch krańcach. Nazywa się to: *Kollegium Clementinum*, pochodzi zaś w całości z 17 wieku. Gmachy te zalegające całą dzielnicę, mieszczą w sobie prócz wspomnianych wyżej kościołów: Kollegium Jezuickie, Seminarjum, Bibliotekę, Obserwatorium, Gabinet Zoologiczny, Muzeum i wreszcie fakulteta teologii i filozofii, w Carolinum bowiem znajduje się tylko wydział lekarski i prawny.

Ztąd, w ciasną się już część miasta zapuszczając zanim się do głównego rynku dojdzie, niepodobna pominąć obojętnie stojącego po drodze pałacu *Clam Gallas*. Kamienny cały (bo w Pradze wszystko jest z kamienia), poczerniały, mehami porośły, z ogromną bramą wjezdną, narożnikami u węglów, karjatydami u ganków, rycerskimi godły na szczycie, wygląda jak nielada udzielna rezydencja. I co za bogactwo posągów, płaskorzeźb, ozdobnych odrzwi, ram u okien rynien, słowem wszelkiego rodzaju prawdziwie pańskiego zbytku! Pałaców takich w Pradze mnogość, a są i piękniejsze jeszcze, jak Lobkowitz, Sternberg. Dopieroż wille, jak Kinsky, albo owe przepyszne Fürstenberga ogrody!

W istocie, nie wiadomo co więcej podziwiać w Pradze, czy wspaniałość feodalną, czy też miejską prawdziwie Hanieatycką zamożność. Opisaliśmy już nie jedno miejsce publicznego użytku. Wielka tam wszędzie rozrzutność przedmiotów sztuki, rzeźby, brązu, ślusarszczyzny. Stąpasz nawet pośród zbytku. Bruku nigdzie innego jak wielkie granitowe płyty, chodniki są tam wzorzystą mozaiką z kolorowych porfirów, układaną w posadzkę z gwiazd i róż misternych, na każdej ulicy innego rysunku. Co krok coś odwiecznego, a nigdzie ruiny. Wszystko podtrzymane kosztem niemałym, ze starannością przynoszącą zaszczyt dzisiejszemu nawet, tyle o skrzętność około mamony pomawianemu pokoleniu. Nie rzadko rzecz cała niemal od fundamentów została dźwignięta.

Oto nie dalej jak *Ratusz* w Głównym Ryнку. Ściśle biorąc, jest to pastisz — z dawniej bowiem budowy, pochodzącej z 15-go wieku, pozostała tylko wieża z zegarem, oraz krużganek stanowiący wejście do dawniej Izby Obrad miejskich, reszta zaś w części dobudowana według pierwotnego planu, nie dalej jak dwadzieścia lat temu, — ale co to za gmach niezmierny, co za okazałość misternej rzeźby gotyckiej, jakież to środki pieniężne, które czegoś podobnego w ciągu lat dziesięciu dokonały. Znajdujący się przed tym Ratuszem plac nie wielki, bardzo smutnej jest pamięci. Na nim to, pod miecz dali gardło Magnaci Czescy, których głowy, jak to wspomnieliśmy powyżej — czas długi na bramie przedmostowej wystawione były. We dwanaście lat później Wallenstein po bitwie pod Lützen, dołączył jeszcze do nich innych kilkanaście. Miecz który tego wszystkiego dopełnił, do dziś dnia w Muzeum Czeskim oglądać można.

Wprost Ratusza, z pośród czworoboku kilku piętrowych kamienic mających dołem szerokie na arkadach podsienia, wybiegają w górę dwie wysmukłe, z wieńcem wieżyczek u szczytu jak na Marjackim kościele, wieżycy. Jest to tak zwany *Teyn*, Zbór niegdyś Hussycki. Po nad olbrzymią różą jego frontonu stoi dziś posąg Najświętszej Panny, ale onego czasu błyszczał tam wielki kielich Taborycki, ponad posagiem Jerzego Podjebrada, który się w tej świątyni koronował. W kościele tym nie małej zewnątrz piękności, w środku zaś wcale sobie skromnym, z prawego krańca głównej nawy, wmurowana jest płyta grobowa, ze stojącą postacią Tychona de Brahe, słynnego astronoma, którego obserwatorium do dziś dnia jeszcze w tak zwanym Belwederze po za Burgiem oglądać można. W bocznej zaś kaplicy, znajdują się brązowe posagi Cyrylla i Strachoty, na piedestale zdobnym w płaskorzeźby.

Wspomnieliśmy o dziwnej skromności wnętrza tego kościoła. Podobna sprzeczność z powierzchownym przepychem (wyłączywszy jedną katedrę) uderza koniecznie przy zwiedzaniu każdego Pragskiego kościoła. Nigdy sobie przyczyny tego wytłumaczyć nie umiał. Architektura nawet o wiele bywa w środku uboższą. Choć w tym ostatnim względzie zrobiłbym jeszcze zastrzeżenie co do kościoła św. Mikołaja

Znajduje się on w Ryńku Mniejszym, prawie naprost pomnika wzniesionego Radeckiemu. Z wierzchu właśnie wcale to nie pozorna budowa — za to środek jej jest istnem arcydziełem. Przyznaję, że w stylu nie ma tam najmniejszej powagi, — ale raz zgodziliśmy się na smak pewnej epoki, również w warunkach tego smaku piękno ocenić można. Otóż kościół ten nosi na sobie wszystkie cechy dziecinnych upodobań z epoki Lndwika XV. Można się na nie nie zgodzić, niemniej przecież tak misternego, tak w sobie wykończonego, tak wypieszczonego, tak harmonijnego w szczegółach i w całości rokoko, myślę że chyba rzadko gdzie w świecie.

(d. c. n.)

LISTY

O LITERATURZE I MŁODYCH LITERATACH
WARSZAWSKICH.

List VII.

Liryzm w poezji — Władysław Belza i jego utwory —
Z wiosny — Testament poety — Pieśni liryczne —
Najwniej — z Wiktora Hugo — Pieśń o koszu i Smutna powieść — ocena.

Pierwsza pieśń jaka na widok piękna rozlanego po całej naturze, obudzić się musiała w piersi człowieka, była bezwątpienia liryczną. Liryka to pierwsza forma w jaką wlewa swe uczucia egotyczne, młody poeta. Serce tam bowiem wzbiera, burzy się, wciela w słowa, które płyną albo pieśnią długą, albo skargą i bólem, lub opowieścią o oczach i ustach kochanej. I jakkolwiek forma to zużyta, forma którą karmią nas od dawien dawna wszyscy poeci, przecież sama w sobie jest tyle piękną że byle tylko drgała w niej iskra nieklamane go uczucia, to radzi czytamy ją i łąz nie jedną witamy o szarej godzinie żywota. Boć nie zaprzeczysz temu, że uczucie to nadniebna okrasa tutejszego bytu, to niewyczerpany skarb życia, który chwytamy pożądlwie, bo trzeba czemś ustroić, ubarwić, upiększyć powszednią prozę. Ztąd też poeta jakikolwiek, choć w piersi jego młodej, nie ma świętych iskier wielkiego talentu, choć śmiać się nieraz z niego musimy wprawdzie „śmiechem przez łzy“ to przecież byle drgnęła tam jedna tylko, maluczka i drobna struna uczucia, już obudzi w nas uznanie. Bo spragnieni jesteśmy w bezbrzeżu życiowym kropielek uczucia, jak biblijna Agara na puszczy wody.

Takim wysoce lirycznym ale i wysoce egotycznym co prawie zawsze w parze chodzi, poetą jest Władysław Belza, nad którego pracami przechodzi mi w tej chwili zastanowić się nieco. Wprawdzie Opatrzność nie rzuciła tam w te piersi młode złotych pokładów pierwszorzędnego talentu, ale dała w zamian uczucie, które radeby świat cały sobą opromienić. I to uczucie zbawia młodego poetę od... zapomnienia. Bólu tam wiele, serca jeszcze więcej, skargi jęczącej w każdym wierszu niemal na świat i ludzi moc, ale siły brak, tej siły która czyni życie tego, na kim palec Przedwiecznego spoczął, Prometejską walką, walką olbrzymią, co grzmi przez wieki całe... Wprawdzie nie każdemu dano stworzyć *Grób Agamemnona*!

Wszystkie niemal poezje Belzy zawierają się w dwóch małych książeczkach — mówimy tu naturalnie o tych które w Warszawie napisał. Pierwsza nosi tytuł: *Z wiosny*. Z pomiędzy mnóstwa wierszy wydrukowanych w tej książce, przytoczę ci tu pani moja ustępów parę z utworu p. n. *Testament poety*, w którym Belza zachorowawszy na Heinego czy Musseta, tak mówi:

„Kiedy ja umrę, bracia najszczerśi!
Zamiast zaszcześcić wierzbe płaczącą,
Na moim grobie, na mojej piersi,
Stawcie kawiarnię zbytkiem kipiącą! (?!!)
Kto przez dni życia swojego krwawę,
Żywiąc nadzieje w piersi różane,
Szedł w świat po laury, wielkość i sławę,
Po wszystkie zresztą bańki mydlane;
Kto z wrzącem łonem, z ogniem miłości,
Z wiarą kołatał do serc braterskich,
A miast marzonej sławy, wielkości,

Zyskał uśmiechów kilka szyderskich....
Nie dziwno zatem, że pod brzemieniem
Cierpień, jak Chrystus w Ogrójcu padal:
I zamiast hymnów, łabędziem pieniem,
Nad losem swoim i bliźnich biadał!“

Ogromną za to różnicę tak pod względem formy jak i treści, przedstawia druga książeczka pod ogólnym tytułem *Pieśni liryczne*. Uczucia tutaj także wiele, może nawet więcej jak w pierwszych pracach Belzy, bólu, cierpienia ustrojonego w przepiękne kształty zewnętrzne, wszędzie pełno, dużo.... Posłuchaj moja droga cudownego wierszyka p. t. *Najwniej*, który w całości przytaczam i osądz sama:

„Tak się biedna rozpląkała,
Gołąbeczka moja mała,
Z lic rumieniec zbiegl!“

Zmilkły rajske jej szczyboty,
I uśmiezek zniknął złoty,
Co jej ustek strzegł!

Jak dwie perel z jasnej toni,
Z ocząt dwoje lez się roni,
Cóż je wstrzyma, cóż?

— Dam ci słonko gorejące,
Wszystkie kwiatki dam na łące,
Tylko nie płacz już!

Nawet nieba ci przybliże,
I skrzydelka dam ci chyże,
Jaskółeczki lot....

Gwiazdkę tobie zdejmę małą,
I ozdobię skroń twą białą,
Strojną w kruczy splot!

I cóż więcej dam dla ciebie?
Cóż? samego chyba siebie,
Jeśli przyjmiesz mię?

Pogroziła mi z daleka:
— A ptasiego czy dasz mleka?
I roześmiała się!“

W wierszu p. n. *Pieśń o koszu* zadrgała, wprawdzie raz tylko, nowa struna w młodym poecie, bo ból społeczny. Oto wiersz ten:

„W izbie mroźno, krzepną dłonie,
Słychać głuchy szum zamieci,
Bładem światłem lampka płonie,
Bładą twarzą dziewczę świeci!

Coraz bardziej pierś ostyga,
Coraz słabiej serce bije,
W pilnych palcach igła miga,
I wciąż szyje... szyje... szyje...

Zorza luną tleje jasną,
Ona szyje do ostatka,
Tam — na niebie gwiazdy gasną,
Tu na ziemi — kona matka!

— O! miej ufność! matka biedna!
Pan Bóg wejrzy, łzy utuli!
Jeszcze tylko wstawka jedna,
W batystowej tej koszuli!

Ot już praca nie daleka,
Mocny Bożej ufać trzeba!
Ja ci matko kupię mleka,
I białego kupię chleba!

Cicho... cicho... ani jęku,
Słońce wschodzi, pomrok kona,
Igła szybko miga w ręku,
I... koszula już skończona!

Oh! radości tu nie mało,
Aż weselsze serca bicie!
Ciszej mała!... słońce wstało,
Lecz zagasło matki życie!

Dwie męczęńskie, blade głowy,
Anioł śmierci cicho tuli....
Za tę powieść, batystowej
Poklonilem się koszu!....

Ślicznym także jest wierszyk, zatytułowany: *Z Wiktora Hugo*.

Gdybym był królem Pani to pod twoje nogi
Położyłbym koronę, na klęczkach lud mnogi,
I rydwan tryumfalny — i królestwo całe,
I flotę śnieżnych żagli i morze wspaniałe,
Za jedno twoje spojrzenie!

Największą pracą w tym zbiorze jest utwór p. n. Smutna pieśń, który opiewa zwykle i znane dzieje miłości. Są jednak i tutaj ustępy nacechowane istotnym talentem.

Z przytoczonych ustępów, sama poznać mogłaś rodzaj talentu poetycznego Bełzy. W Krakowie gdzie bawił jakiś czas wydał także podobno zbiorek nowy, niedrukowanych dotąd poezji, a teraz jak się dowiaduję występował na scenie Poznańskiej w dramacie *Noc i poranek*, przerobionym z głośnego romansu Bulwera i sympatycznego doznał przyjęcia. Szczęść mu Boże!

Walerj Przyborski.

MELOT I KOWADŁO

ROMANS W TRZECH CZĘŚCIACH

Fr. Spielhagena

przełożył z Niemieckiego Michał Gliński.

(Dalszy ciąg.)

T O M II.

ROZDZIAŁ I.

Przez trzy dni zostawiono mnie w pokoju, a raczej podług psychologicznych przepisów posadzono mnie na rekollekcji, żebym się obrachował z moim sumieniem, pojął całą wielkość mej zbrodni i przyzwyczaił się do zakratowanego okienka. Przez trzy całe dni nie widziałem nikogo, tylko starą kucharkę, która więźniom jeść gotowała. Niech miłosierdzie Boskie zmiłuje się nad nią za kaszę, groch i chleb, któremi nas karmiła! Nie myślałem nigdy, żeby człowiek mógł drugiemu człowiekowi takie paskustwa na pokarm dawać. I starego policjanta dozorcę, który spał ciągle dla tego, jak utrzymywał, żeby się więźniowie nie wstydzili przed nim swego złego życia. Psychologiczny przepis nie mi nie pomógł, a rzeczywistość przekonała wkrótce, że mnie uważano za głównego przywódcę kontrabandy morskiej, a pan radca sprawiedliwości przy śledztwie, powikłał namiętnie najprostsze podług mnie wydarzenie na świecie. Ale kto tam zważał na to jak mi się ta sprawa przedstawiała? Kogo to co obchodziło, że ja tak myślę i tak czynię? Nie chcę nikomu ubliżyć i nie twierdzę żeby urzędnicy sądowi nie chcieli wykryć prawdy, ale ją chcieli gwałtem znaleźć tam gdzie nie była i gdzie ja ją pokazywałem.

Przywołano mnie wreszcie do inkwizycji, ujrzałem przed sobą pana radcę Heekfennig, pana delegowanego *ad hoc* urzędnika Dummkopf i kancelistę Szrajbera. Zaczęła się indagacja.

— Dla czego pan odszedł od ojca?

— Dla tego że mnie wygnał z domu!

— Piękna przyczyna! Rozgniewani czy gniewni ojcowie, często pokazują drzwi swoim synom, a dla tego synom nie przychodzi do głowy ta myśl, żeby zaraz w świat uciekać. W tem musi się co innego ukrywać! Może życzyliśmy sobie być wypędzonymi?

— Pod pewnym względem przyznaje to!

— Może pan przyzna bezwarunkowo?

— Przyznaje!

— Bardzo dobrze! Panie Szrajber, pisz pan odpowiedź pod sąd, że bezwarunkowo przyznaje, jako chciał być *wysłanym* z domu. A kiedy poznałeś się pan pierwszy raz z panem Zehren?

— Wieczorem, u kowala Pinnowa.

— Czyś go pan wprzód znał?

— O ile pamiętam nie!

— Ani nawet u Pinnowa? a przecież on utrzymuje że pan Zehren często u niego wieczorami bywał i pan także, to cud chyba żeście się nie spotkali.

— Pinnow kłamie i wie dobrze że kłamie!

— Więc pan obstajesz przy tem że spotkanie się pana z panem Zehren było czysto przypadkowe?

— Najzupełniej!

— Wiele pan miałeś pieniędzy, kiedyś z domu wyszedł?

— Jeżeli sobie dobrze przypominam, miałem 25 srebrnych groszy.

— Czy miałeś pan jaką nadzieję lub pewność znaleźć gdzie schronienie?

— Żadnej!

— Nie miałeś pan żadnej pewności przytułku, miałeś tylko nie całego talara w kieszeni, kiedy cię ojciec *wysłał* z domu, a utrzymujesz żeś się przypadkowo spotkał z człowiekiem, który cię zaraz do siebie zabrał i u którego przebywałeś aż do ostatniej katastrofy. Masz pan dosyć rozumu na to, żeby się przekonać, że to jest bardzo niepodobnem do prawdy, dla tego pytam się pana jeszcze raz czy powyższe swoje twierdzenie utrzymujesz ciągle i ostrzegam pana, że niebezpiecznie jest ściągać na siebie coraz silniejsze podejrzenia?

— Utrzymuję i nie odwołam nigdy.

Pan radca rzucił takim okiem jakby mówił: Czy pojmujesz pan taką *przewrotność*? a pan Szrajber kiwnął głową i szybko skrobał piórem po papierze, jakby chciał, dla swojej moralnej spokojności, mieć takie niepojęte rzeczy, czarno na białem.

Inkwizycja długo się ciągnęła, mordowano mnie wszelkiego rodzaju pytaniami, objaśnieniami, i konfrontacjami, prostą i krzyżową sztuką, w czem pan radca był bardzo mocny. Skarżyłem się na to przed moim obrońcą Parlerem, dodając że powiedziałem tym panom wszystko, a jak oni nazywają: zeznałem.

— Szanowny Panie! odrzekł obrońca, naprzód nie prawda, żeś pan wszystko powiedział, bo *np.* nie chciałeś pan powiedzieć, kto była ta druga osoba z którą do łódki Pinnowa wsiadłeś, a powtóre coż znaczy zeznanie? My prawnicy kryminalni bardzo małą wagę przywiązujemy do zeznania. Iluż to zbrodniarzy nie chciało żadnych zeznań robić, a ile znowu zeznań zostało odwołanych, ile okazało się najczystsze zmyśleniami. W aktach kryminalnych....

Rozpacz mnie ogarnęła! Parler był potem światłem i gwiazdą prawodawczą, może już i wtedy był, ale nie był jeszcze profesorem, tajnym radcą i sławnym uczonym, był po prostu za uczonym i dowcipnym na mnie biednego chłopca. Ze swoim, po pierwsze i po drugie, byłby, nawet z aniołów złożony, sąd przysięgłych przeciw niewinnemu uprzedził, a coż dopiero mówić o komplecie uczonych sędziów, którzy, naprowadzeni przez niego, przyszli do tego filozoficznego wniosku, że człowiek, którego trzeba bronić z taką wymową, przenikliwością i uczonością, musi koniecznie być winnym. Widzę go jeszcze dzisiaj jak siedział w mojej więziennnej celce i rnszał długimi nogami i machał długimi rękami jak wielki pajak, kiedy mu się siatka jego popsuje. Ah, ciężka to była sprawa, szczególnie dla tak uczonego pajaka, wydobyć na czysto biedną muchę, która przez swoje własne zaślepienie wpadła do sieci. Teraz dopiero przekonałem się jak giętkie są węzły tej sieci i ile to much, oprócz mnie, uwieźło w nich.

Naprzód nieogłędne muchy, które pod maską zacnych obywateli i szanowanych kupców, od wielu lat prowadziły handel przemycanymi towarami i oszukiwali skarb na sta tysięcy. Rodzaj ten much jest brudny i wstrętny. Niech tylko która z nich zawadzi nogą o tę sieć i zobaczy że ciężko będzie wykryć się, zaraz zdradza swoje towarzyszek i dopóty nie uspokoi się, dopóki wszystkie do sieci nie wpadną. Takie muchy byli mieszkańcy mojego rodzinnego miasta i sąsiednich miast.

Był inny rodzaj much, niezmiernie zacniejszy, który jednak i nie wiedział może i nie chciał się ze swoich *przymiotów*. Byli to moi przyjaciele, dzielni i milejący ludzie z Zanowitz i z innych nadbrzeżnych osad.

Na tej drodze życia i zarobku, nie mieli tak świetnego *łłosu* jak tamci w mieście za kantorem i w sklepie. Musieli bić się z wiatrami i burzami, musieli cierpieć głód, pragnienie, zimno, musieli dla małego zysku, narażać skórę własną, wolność i życie, najczęściej dla tego żeby mogli wyżywić żonę i dzieci. Mimo to, chociaż ich czterech na bagnach schwytało, żaden nie zdradził nikogo, bo jak mówili, nie znali nikogo: „Noc była ciemna a wiadomo, że w nocy wszystkie koty są szare, zresztą każdy miał sam dosyć do roboty.“ Naprawdę pan radca prawny stawił im podchwytliwe pytania, naprawdę pochlebiał i groził, musiano uwolnić kilkunastu ludzi podejrzanych

tylko, a zatrzymać czterech na gorącym uczynku złapanych.

Był to dziwny rodzaj much, szorstki i niespokojny a nade wszystko bardzo przykry dla strażników, pilnujących kasy dobrze urządzonego państwa, zawsze jednak zacny w swoim rodzaju i nie tak wstrętny w moralnym względzie, jak ów pierwszy.

Oba te rodzaje much, oddawna już trzymały się za ręce, ale bez żadnych stałych zasad; dla tego też nie wielkie ztąd dla nich wypłynęły korzyści. Przed kilka laty interes ten ogromnie się ożywił. Znalazł się ktoś, jeden z właścicieli ziemskich, który jak i inni jego sąsiedzi kupował od defraudantów wino, koniak, sól i tytoń, aż w końcu wpadł na myśl że nie ma w tych stronach przedsiębiorczego pośrednika między liwerantami i kupującymi, pośrednika któryby urządził dla kontrabandy wielki skład i dał możność dostawcom sprowadzać większe partje, a kupującym mieć zawsze na zawołanie czego im potrzeba. Ten zdrowy ekonomiczny pomysł, który potrzeba naciskając pokazywała, został przyprowadzony do skutku przez tego człowieka z wielką śmiałością, energią i ogłędnością. Położenie jego dóbr, ciągnących się po nadbrzeżnych wysokościach jak raz nadawało się do tego celu. Dawniej na łódkach teraz na okrętach przemycano, a wszystko chowano w wielkich piwnicach zamku, z kądem małymi partjami rozbiierali towary właściciele ziemscy, kupey po miastach i miasteczkach. Kowal Pinnow był prawą ręką w tym interesie, znany on był oddawna jako defraudant, nie raz był więziony i karany. Nagle zachorował na oczy, musiał nosić niebieskie okulary i całem jego zajęciem było to, że jeżeli była bardzo piękna pogoda, woził gości na spacer na swoim Kutrze. Nieszczęście to właśnie wtedy na niego padło, kiedy wielki dowódzca defraudantów postanowił swój zamiar urzeczywistnić. Wskazano mu do pomocy Pinnowa, pewnej nocy poszedł do niego i przyjął go prawie do wspólki. Pracowali przez pięć lat razem i kowal duży zbił pieniądze. Byłby on nigdy nie odważył się zdradzić naczelnika i współnika swojego gdyby był stary Dzik nie zrobił głupstwa i nie powiedział kowalowi w przystępie jakiejś szlachetności. „Jak nie dasz pokoju dziewczynie, to ci palnę w łeb jak psu!“ a Pinnow nie był znowu taki człowiek, żeby cicho siedzieć przed groźbą, która mogła bardzo łatwo sprawdzić się.

Od tego czasu, nie wiadomo z kądem, zaczęły się po mieście, a szczególnie w komorze celnej rozchodzić pogłoski, że Dzik Zehren jest naczelnikiem i duszą całego, tak ogromnego, przemycanego handlu. Z początku nie chciano temu wierzyć, straszono nim wprawdzie dzieci, kiedy spać nie chciały, rozповідаło sobie niestworzone rzeczy o nim *np.* że szwagra zabił, że się z żoną po tyrańsku obchodził i że ją w końcu utopił, i tym podobne historie, które przypadały wybornie do jego charakteru, ale kontrabanda! to niepodobna! On pochodzący z najstarszej szlachty w kraju i kiedy jego rodzony brat jest radcą skarbowym!... Nie!... To być nie może! Taka była opinia publiczna. Ale niedawno temu zaczęły się znowu innego rodzaju gadaniny po świecie rozchodzić. Szeptano sobie że bracia najzupełniej niepodobni do siebie umysłem, charakterem a nawet powierzchownością, w tem byli zupełnie podobni do siebie, że mieli wielkie długi, których nie było czem zapłacić, a jednakowe przyczyny wydały jednakowe skutki. Że tak długo Dzik Zehren prowadził bardzo pomyślnie swój interes, to pochodziło ztąd, jak gadano, że urzędnicy celni nic a nic nie wiedzieli co i gdzie robi Dzik, a Dzik przeciwnie doskonale zawsze wiedział gdzie celników nie ma.

Te gadaniny byłyby sobie jeszcze długo po cichu biegały, gdyby był nieszczęśliwy wypadek nie przyszedł w pomoc zdradzie Pinnowa. Tego samego dnia kiedy kowal z Długim Janem robili swoje zeznanie przed rewizorem celnym Szwarzem, przybył do X. główny dyrektor celnictwa. Rewizor, który miał jakąś urazę do radcy skarbowego, zamiast przedstawić jemu denuncję udał się, prosto do dyrektora, wydał zaraz energiczne rozporządzenia, które jak widzieliśmy zupełnie powiodły się.

Czy radca skarbowy był winnym? Wyraźnych dowodów na to nie było.

Pan radca często powtarzał, że nie ma żadnych osobistych stosunków ze swoim bratem, bo nie chciał kompromitować się jako wierny urzędnik. Rzeczywiście nie widziano nigdy w ostatnich czasach Dziaka ani u brata ani nawet w mieście. Czy się widywali z sobą nie było wiadomem, musieli to robić bardzo skrycie. Listy brata musiał zaraz radca pa-

lic a *Dzik* już nie żyje, zamek spalił się do szczytu kłóż więc może znaleźć jakie dowody przeciwko niemu?

Tylko ja jeden! Pamiętałem dobrze jak się pan Zehren nie raz o swoim bracie wyrażał, wiedziałem że ostatnią tę wyprawę przedsięwziął *Dzik* w interesie rady i miałem na to piśmienny dowód, ale go zniszczył. Pokazało się wkrótce, że się czegoś domyślano, bo nie długo potem w indygnacji ze mnie, znalazło się nazwisko rady. Wypytywano mi się jak najostrożniej, co ja wiem o stosunkach pana Zehrena z bratem. Powiedziałem i utrzymywałem ciągle że nic nie wiem.

— Szanowny Panie! mówił do mnie Parler, dla czego masz go oszczędzać? Naprzód nie wart tego żeby go oszczędzać bo to jest złe indywiduum, z jakiegokolwiek strony go zaczepisz, a powtóre pogorszasz bardzo własne położenie. Powiadam panu że najmniej będzie więzienia pięć lat, bo po pierwsze....

— Na miłość Boską! daj mi pan pokój!

— Co dzień stajesz się pan gorszym.

I miał słuszność, bo cudem tylko mógłbym się być od złego wpływu tej sprawy na mnie, uwolnić. Siedziałem już w więzieniu przeszło pół roku w małej izdebce, dziesięć kroków długiej a sześć szerokiej. Była to straszna męka dla młodego człowieka mojej natury, straciłem zaufanie do ludzi bo ujrzałem że mnóstwo jest pomiędzy nimi tygrysów, węzów i krokodylów. Nikt mi nie odwiedzał, to fraszka! Pan radca prawny zabronił mi wszelkich stosunków z zewnętrznym światem i to fraszka! ale że ludzie, którym nie złego nie uczyniłem, których zaledwie znałem, usiłovali upadłego jeszcze głębiej w błocie unurzać, tego nie mogłem im przebaczyć, to napawało serce moje goryczą. Wezwano dziesięciu świadków, żeby zeznali jakie było moje poprzednie sprawowanie, a z tych dziesięciu, jeden tylko dał dobre o mnie słowo: — profesor Lederer, wszyscy inni oświadczyli że nigdy nie widzieli takiego złego chłopca jak ja.

A cóż im złego zrobiłem? Może jednemu z nich napchałem drzazgę do fajki, drugiemu zabrałem gołębce, a synowi trzeciego rozbiłem nos aż do krwi! I dla tego to! dla tego!..

Ży mi się polaty z oczów, kiedy mi Parler powiedział że i Artur, ukochany mój Artur, zapytany o stosunki ze mną zeznał, że od dawna już ciągle o kontrabandach rozmawiałem, że chciałem zostać defraudantem i dla tego bardzo często u Pinnowa bywałem.

— To pachnie siedmioma latami mój panie! — bo po pierwsze... Otarłem łzy, zacząłem się śmiać, potem wpadłem w wściekłość, a w końcu w zupełną apatię. Słyszałem, ale nie czułem, kiedy mi opowiadano, że Konstancję, na proźby i groźby swojego ojca, porzucił młody książę, że Jan Trantów zniknął gdzieś bez śladu, że Krystjan nie mógł przenieść śmierci pana, ucieczki Konstancji i zniszczenia zamku i zabił się, że stara Pahlen siedziała w więzieniu ale potrafiła uciec. Z równą obojętnością wysłuchiwałem wyroku, wydanego na mnie.

Parlern ze swoim: po pierwsze i po drugie dobrze zgadł, skazano mnie na siedm lat więzienia w mieście S.

— Możesz pan sobie powinszować! Ja bym pana skazał na dziesięć lat, bo po pierwsze...

— I po ostatnie bywaj pan zdrow, nie jestem teraz w usposobieniu do słuchania pańskich wywodów. Ciekawym, co by był powiedział na to pan Zehren, gdyby był żył, że jego wiernego giermka wsadzili do więzienia i oddali pod straż własnemu jego bratu.

ROZDZIAŁ II.

Był prześliczny dzień majowy, kiedym się zbliżał, transportowany przez dwóch żandarmów, do miejsca mojego przeznaczenia. Na lewo widziałem wiele ludzi pracujących około nowej szosy, która miała połączyć nasze miasto ze stolicą, na prawo rozciągały się ogromne łąki, za nimi jezioro a za jeziorem pola i las. Przedemną widać było dwie wieże o jaką milę odległości. Upadłem zupełnie na duchu, bo przez cały czas podróży, myślałem tylko o tem że mi się nadarzy jaka sposobność do ucieczki, a tym czasem nie było ani najmniejszej. Żandarmi jechali po obu stronach wozu, ciągle mając wlepione we mnie oczy a bić się z dwoma uzbrojonymi ludźmi, znać było co pewnej śmierci szukać.

Po mału jednak świeże powietrze, widok słońca i zieleni, śpiew ptaków i rozkoszne majowe ciepło,

podziało zbawiennie na myśli i uczucia moje. Błogi spokój objął całą moją istotę, bo też od dzieciństwa lubiłem naturę i żyłem z nią, jakby nie tegocześnie człowiek. Słońce już zaszło, kiedyśmy wjechali w bramę miasta, a przebywszy kilka wąskich, błotnistych ulic wóz zatrzymał się przed wysoką bramą w grubym czarnym murze. Brama się rozwarła, wóz wjechał na dziedziniec i znowu zatrzymał się przed ogromnym, smutnym gmachem, w którym miałem przesiedzieć siedm lat za to, że chciałem obronić dobroczyncę i przyjaciela od piekielnej zdrady.

Siedm lat! Byłem pewny że to nie potrwa tak długo. Wszakże czytałem przygody barona Trenka i zadziwiające czyny Monte-Christa. Co im się udało może się, musi się i mnie udać. Dla tego to jak się tylko zamknęły drzwi mojej celi, obejrzałem ją najstaranniej we wszystkich kierunkach i zakątkach. Jeżeli wszystkie cele były do mojej podobne, to nie jeden z więźniów nie mieszkał tak wygodnie kiedy był na wolności: ściany były białe jak w moim pokoiku na poddaszu, żelazne łóżko z czystą pościelą i umywalnia, przy oknie stół, para drewnianych stołków i duże, skórą pokryte krzesło z poręczami, które mi przypominało pokój na zamku Zehrendorfu.

A tak! wszakże byłem znowu gościem u jednego z Zehrenów chociaż nadzorey więzienia, nie mogłem się od nich uwolnić. Nie wiele mi dali szczęścia, a dawny urok, jaki otaczał ich nazwisko ogromnie zmalał. Pan radca skarbowy, który dla chłopca był wielceńiem najwyższej ziemskiej wielkości, czemże był dziś w oczach więźnia? obłudnikiem i kłamcą, który sto tysięcy razy był gorszym od wielu innych. A ten drugi tutaj, co pochodząc z takiej wielkiej rodziny, czy nie był jeszcze gorszym niż obłudnik i kłamca. Postanowiłem też pokazać mu całą moją pogardę, jak tylko go zobaczę, powiem mu że kiedy już został dyrektorem więzienia powinien był przy najmniej zmienić i nie plamić nazwiska brata, który wolał zabić się niż być zamkniętym w więzieniu.

Okno wychodziło na podwórze, otoczone różnymi zabudowaniami, a że nie było bardzo wysokie, widać było po przez nie jakiś ogród, a w nim dwupiętrowy dom. Po całych godzinach wpatrywałem się w ten mały widok, oparłszy się czołem o kratę, dopóki ból i czerwona wstęga nie przypominały mi, że krata dolega i że to krata więzienna. Ze złości chwyciłem ją w obie ręce i wstrząsnąłem nią z całej siły, która mnie jeszcze nie opuściła. Wielki Boże! czy mi się zdało czy krata rzeczywiście poruszyła się? Tak jest poruszyła się i albo szruby się wytały albo futryna spruchniała. A zatem krata już mnie nie trzyma, wszak przysięgałem sobie że mi nie utrzymają przez siedm lat. Ale po mału mój kochanku! Nie sama krata trzyma cię w zamknięciu, bo okno twoje leży od bruku o trzydzieści stóp wysokości, a chociażbyś się i spuścił to warta, mury i tym podobne rzeczy spotkają cię. A tak pierwsza radość tak wielka już bardzo zmalała.

Usłyszałem szelest na korytarzu, kroki zbliżały się aż do moich drzwi, kiedy klucz we drzwiach zaskrzypiał, odskoczyłem od okna i stanąłem na środku celi. Drzwi się otworzyły, wszedł dozorca a za nim jakiś człowiek, dozorca wyszedł a człowiek został, przypatrywał mi się przez chwilę a potem powoli zbliżył się do mnie. Promień zachodzącego słońca upadł na jego postać i dotąd widzę go ciągle tak opromienionym, bo dotąd myślę o nim z najwyższem uczuciem wdzięczności i przywiązania.

Tutaj nad stołem, na którym piszę, wisi jego portret, malowany ukochaną ręką, portret jest jak żywy i zdaje mi się, że słyszę jego łagodny i głęboki ton głosu, kiedy wyrzekł do mnie pierwsze słowo politowania i pociechy.

— Biedny młodzieńcze!

Jak bardzo więzienne powietrze musiało zatruć moje serce, kiedy mi ani to słowo, ani ton z jakim było wymówione, nie a nie nie poruszył! Należy to do najboleśniejszych moich wspomnień, że odepchną rękę najszlachetniejszego człowieka, że zranił najlepsze serce. Muszę wyznać tę ciężką winę, bo piszę historję mojego życia a nie romans. Nie raz sobie myślałem i tłumaczyłem później, że bym go był może tak nie pokochał, gdybym się tak twardym dla niego nie okazał, gdybym był mu nie dał sposobności do wylania na mnie całej jego dobroci. Ale i ta myśl nie uspakajała mnie. Są kamienie tak wielkiej wartości i takiego blasku, że nie potrzebują żadnej sztucznej oprawy!

— Biedny młodzieńcze! wyrzekł jeszcze raz poda-

jąc mi białą przezroczystą rękę, która wnet opadła, kiedy zamiast uchwycić i ucałować tę szanowną rękę, skrzyżowałem ręce na piersiach i cofnąłem się nazad.

— Tak jest! mówił dalej a głos jego stał się jeszcze łagodniejszym; twardy, surowy wyrok wypadł na ciebie za przestępstwo, które podług litery prawa i zdania sędziego jest ciężkiem przestępstwem, złe podług innych a szczególniej podług mnie nie jest przestępstwem a po prostu nierozwagą. Jestem bratem tego, za którego pokutujesz.

Zatrzymał się na chwilę, jakby czekał na moją odpowiedź, ale nie wyrzekłem ani słowa. Mówił dalej swoim cichym dźwięcznym głosem:

— Dziwny to wypadek że jeden z braci musi na panu mścić się niejako za to, co drugi względem pana zawinił, wypadek który potrafię na dobre użyć — ale o tem kiedy indziej pomówimy. Dzisiaj przykre wrażenie tego miejsca za bardzo jeszcze ciąży na takiem sercu jak twoje i gdybym dziś przemawiał do ciebie językiem aniołów nie znalazłbym drogi do twojej duszy, bo ją zawała nienawiść i gniew. Proszę mi otwarcie powiedzieć czy masz jakie życzenia, którebym mógł zaspokoić?

— Żadnych! bo mi pan z pewnością nie pozwoli iść na cały dzień na polowanie, na pola w Zehrendorfie.

Smutny uśmiech pokazał się na małych ustach dyrektora więzienia.

— Słyszałem żeś z moim bratem wiele polował i żeście oba byli najlepsi strzelcy. Myśliwstwo jest wrodzone człowiekowi; od tego zaczął. I ja je lubiłem, ale na więziennych dachach i w ogrodach nie ma co polować, urlopu nie biorę nigdy, bo trzeba o niego prosić. Z resztą byłoby to wielkie nieszczęście dla mnie gdyby stara namiętność pobratała się ze starymi siłami, dla tego to mam sobie za wielką łaskę że w r. 1813 kula przeszła mi płuca na wylot, teraz nawet amerykańskie knieje nie wiele mają dla mnie powabu. Nauczyłem się żyć w ciśnieńszem kółku; najmilszem mojem zatrudnieniem jest tokarstwo. Ale i ono już za ciężkie na rannego inwalidę; muszę sobie co lżejszego wyszukać aby tylko nie być bezczynnym. Nie wiesz tego jeszcze, ale się dowiesz jaką to rozkoszą jest dla więźnia mechaniczna praca! Ona to zwraca rozbijałe myśli na przedmiot blisko będący i łatwo ujęty, który rośnie w jego rękach i przed jego oczami, stężyła krew porusza. Odechodzę, mam jeszcze tu i owdzie zajrzeć i cały zakład zwiedzić. Człowiek, który ci będzie usługiwał jest z wierzchu gburowaty, ale wewnątrz dobry; stary, znam go od dawna i wiele mi dobrego wyświadczył; możesz mu zupełnie zaufać. Spij spokojnie i marz o uwolnieniu które przedzję, niż myślisz, przyjdzie.

Kiwnął głową i odszedł jak przyszedł po mału i po cichu. Spoglądałem za nim machinalnie, potarłem czoło ręką, bo mi się zdało, że nagle ciemność rozpostarła się w mojej cichej izdebce.

Stałem jeszcze na tem samem miejscu, kiedy się drzwi znowu otworzyły; wszedł dozorca z zapaloną świecą, którą na stole postawił. Wrócił potem do drzwi i odebrał od jakiejś kobiecej postaci, zaledwie dojrzańej, przenośny stolik, na którym znajdowała się wieczerza; była i faszka wina. Nakrył na rogu dużego dębowego stołu białą serwetą, ustawił wszystko porządnie, cofnął się o krok, spojrzął z zadowoleniem na swoje dzieło, potem na mnie i niby mrucząc rzekł: No!

— Zdaje się że to dla mnie?

— A dla kogóżby?

Pieczeh na talerzu pachniała aromatycznie, od więcej pół roku nie kosztowałem wina, a postać mruklwego dozorey więcej mi się podobała niż łagodnego nadzorey.

— Czy mam za to podziękować panu dyrektorowi?

— Za to i za wiele innych rzeczy! mruczał stary.

— Na przykład?

— Na przykład: żeśmy dostali najlepszą celę z widokiem na ogród, zamiast na plac gdzie ani słońce ani księżyc nie dochodzą.

— Dziękuję! A co jeszcze?

— Że możemy nosić swoje piękne miejskie suknie, zamiast munduru z szarego drelichu.

— Dziękuję! a co jeszcze?

— Żeśmy dostali na dozorcę wachmistrza Zismilcha!

— Z którym mam zaszczyt?

— Z którym masz pan zaszczyt!

— Wielce obowiązany!

— Bez ceremonii!

Żeby się lepiej przypatrzeć spojrziałem na tego człowieka, który miał być dla mnie tak czcigodnym i obowiązującym. Miał przeszło pięćdziesiąt lat, małego krępego wzrostu a stał mocno na swoich małych łukowatych nogach. Uramion wisiły dwie wielkie, obrosłe ręce, któreby potrafiły jeszcze tego ścisnąć. W twarzy poranej tysiącami mniejszych i większych zmarszczek, wyglądały z pod gęstych brwi dwa jasne dobrotliwe oczy, które napróżno siły się żeby sobie nadać przestraszającą minę. Włosy miał krótko ostrzyżone a po obu stronach orlego nosa wisiły potężne faworyty. Wachmistrz Zismilch przez długi czas był potem moim najlepszym przyjacielem; wyświadczył mi w ciężkich razach znakomite usługi, nauczył następnie moje dzieci jeździć na koniu, a kiedyśmy go przed pięciu latami zaprowadzili na wieczny spoczynek, płakaliśmy jak dzieci. Ale w obecnej chwili uważałem go jako główną przeszkodę do wydobywania się na wolność.

— Kiedyśmy się już dosyć napatrzeli na starego wachmistrza, odezwał się po chwili, to możemy usiąść do stołu i zjeść wieczerzę, która wcale nie będzie lepszą przez to że ostygnie!

— Dla mnie może stać jak najdłużej! Nie potrzebuję ani pieczenia ani wina pana dyrektora.

— Trzeba było zaraz to powiedzieć; mrucał stary i zaczął zbierać nakrycie i kłaść na przenośny stolik.

— Diabli tam wiedzą jakie tu są zwyczaje! zawołałem.

— Tutaj jest taki zwyczaj, że trzeba wprzódy pracować nim się dostanie jeść.

— To nie prawda! nie jestem wyrobnikiem ani dozorcą; jestem więźniem na siedem lat skazanym, a w twierdzy tej muszą się znajdować sami zacił ludzie.

— Za jakiego się pan ma!

— Za jakiego się ja mam!

— A przecież mylimy się! odpowiedział wachmistrz Zismilch; w więzieniu trzeba pracować, jeżeli nie mamy ojca, lub kogokolwiek który by na nasze utrzymanie łożył. Mamy wprawdzie ojca, ale ten daje tylko dziesięć srebrnych groszy dziennie.

— Panie Zismilch, zawołałem stawając przed nim, powiem panu prawdę i daję panu na to słowo honoru, że wolę zdechnąć jak szczur w jamie, niż przyjąć jeden grosz od ojca!

— Jutro zmienimy zdanie.

— Przez całą wieczność, nie!

— To trzeba pracować.

— To zrobię to.

— A zapewne że pan zrobisz.

Ruszył się z miejsca, zatrzymał się chwilę przy drzwiach i odezwał się przez ramię.

— A zatem chcemy żyć, tak jak każdy inny, na rządowym koscie?

— Niczego nie chcemy!

— Ani nawet świecy, bo i to jest extra!

Słyszałem jak stary zbliżył się do stołu; wziął świecę i szedł ku drzwiom. Tutaj zatrzymał się czekając czy co nie powiem, nie ruszyłem się; kasłał głośno, nie ruszyłem się. W jednej chwili znalazłem się w grubych ciemnościach.

— To dobrze! Niech was wszystkich porwie nie-szczęście; przyjaciół i nieprzyjaciół, nie potrzebuję żadnego z was i nie chcę nic nikomu być dłużnym.

Roześmiałem się na głos, chwyciłem znów za kratę i wstrząsałem nią z całych sił, lub biegałem po celi jak dziki zwierz w klatce. Rzuciłem się w such

ch na łożo i kłamałem los i ludzi, którzy mi do tego stanu doprowadzili, złorzeczyłem Zehrenowi, sędziom, ojcu i całemu światu, a przy tem wszystkim myślałem ciągle o tem, jakimby sposobem odzyskać wolność.

Leżałem tak długo, wreszcie usnąłem; sniły mi się kwieciste łąki, na których latały śliczne motyle, goniłem za niemi, a kiedyś je już miał uchwycić zamieniały się w czerwone róże. A czerwone róże, kiedyś je chciałem zerwać zamieniały się w prześliczne kobiece twarze. Tak mnie to wszystko czarowało że w szalonej radości, tarzał się po łąkach. Kiedyś się obudził nie śmiałem się wcale, bo stał przedemną wachmistrz Zismilch i mówił:

— A! to trzeba będzie pracować!

ROZDZIAŁ III.

Od czternastu dni robiłem już wszystkie najcięższe roboty w zakładzie chociaż mogłem się od nich uwolnić, bo po pierwsze podług przepisu prawa więźniowie powinni być zajęci podług zdolności jakie posiadają, a powtóre że Dyrektor zostawił mi wolny wybór pracy. Zrobił mi nawet propozycję, czybym nie chciał prowadzić rachunków zakładu, do czego materiały będą mi do celi mojej dostarczane, a możebym sobie życzył pracować w ogrodzie na otwartym powietrzu. Odpowiedziałem że jestem bardzo złym rachmistrzem, a na ogrodnictwie się nie znam. Dla tego proszę o inną robotę: np. drwa rąbać, kamienie tłuc, lub ciężary nosić, bo to się lepiej zgadza z moją silną naturą, która potrzebuje mocnego ruchu i natężenia. Miałem ja do tego inne powody, nie chciałem przyjąć od ojca żadnej pomocy, nie chciałem przyjąć od dyrektora żadnej ulgi, a w końcu myślałem do skutku doprowadzić mój zamiar, żeby czy to chytrą, czy siłą wydostać się na wolność. I tu jeszcze stanęła przedemną silna moralna przeszkoda, która się wydała dziwną w mojem położeniu, a której się jednak nie wstydziłem. Nie chciałem nadużyć zaufania, jakie we mnie dyrektor i wachmistrz położyli, nigdy tego nie uczyniłem i teraz nie uczynię, nawet za cenę tak upragnionej wolności. Jeżeli mi każą, razem z innymi więźniami pracować to mi też razem z nimi będą pilnować, a wtedy nie będę obowiązany nikogo oszczędzać.

Takie myśli roily mi się po głowie kiedyś stanął przed dyrektorem w jego kancelarji i przedstawiłem mu moją prośbę. Spojrzał na mnie swojemi łagodnymi oczami i rzekł:

— Każdy kto przychodzi do mojego zakładu, może być pewnym mojego politowania, tem bardziej pan, którego los tak mi bardzo obchodzi. Odrzuciłem moje dobre słowo i moją rękę, aleś mi tem nie obraził. Mogłem się być spodziewać tego, sądząc po tem jak się pan przez cały ciąg procesu zachowywał. Czy dobrze robisz odrzucając pomoc ojca, co go jeszcze więcej obrazi, zostawiam to pańskiemu sumieniu. Jeżeli chcesz koniecznie utrzymywać się z własnej pracy, to wynalazłem zatrudnienie, które lepiej odpowiada pańskim zdolnościom. Powiadasz że ci konieczną jest ciężka robota, niech tak będzie! Jesteś silnym mężczyzną, herkulesem w porównaniu ze mną biednym inwalidem, zamknięte powietrze więzienia jest zabójczem dla pańskiego organizmu fizycznie i moralnie.

Długim badaniem znużony, kiedy odetchniesz świeżem powietrzem i rozruszysz zastygłą krew, staniesz się, jestem tego pewny, tym samym dobrym i dzielnym młodzieńcem jakim wyszedłeś z domu.

A może potrzeba ci takiej pracy dla przytłumienia namiętności, które wrą w panu. Wziąwszy to wszystko na uwagę, przystaję na prośbę, wachmistrz Zismilch pokaże miejsce. Ukłonił mi się głową i ręką — wyszedłem. Nie wiem dla czego łyż mi się puściły, kiedyś już był za drzwiami, ale je przydusiłem w sobie: Wszystko to pięknie ale ja nie chcę być dobrym, chcę być wolnym.

W ostatnim kącie obwodowego muru, miano stawiać nowy szpital, anszlagi i rachunki wykonał sam dyrektor, bo był wybornym budowniczym. Roboty pierwsze i grubsze miały być przez więźniów dopełnione. Kopano fundamenta, robota była ciężka, bo na tem samem miejscu stała kiedyś ratuszowa wieża, której szczątki stwardniały jak opoka. Trzeba je było rozbijać żeby się dostać do starych fundamentów, które miano nadzieję zużytkować. Pracowało tam przeszło dwudziestu ludzi, nadzór nad niemi miał wachmistrz Zismilch, a przy nim było, jeszcze dwóch dozorców. Wszyscy więźnie byli podobni do siebie i wszystkim nie wolno było palić tytoniu, gwiżdżać, śpiewać, i po cichu rozmawiać. Kiedy ten lub ów zaczął poufną i prywatną konwersację, to wnet wachmistrz wołał: „Nie ma tu żadnych tajemnic, możemy głośno mówić, albo wcale nie mówić to jeszcze lepiej!”

Ostrzeżenie to trafiało najczęściej na jednego z więźniów, z tym dodatkiem żeby zwracał uwagę na siebie bo będzie źle. Był to chłop o herkulesowej budowie, wyglądał jak prawdziwy szubienicznik i temu tylko winien był ocalenie swoje, że morderstwo, które popełnił, nie było, podług zdania sędziów, dostatecznie dowiedzione. Nazywał się Kasper a kole-dzy nazywali go Kasper-kot, bo widział w nocy tak

dobrze jak w dzień, a do tego jeszcze mimo ogromnego wzrostu, umiał się przez najmniejszą szparkę prześlizgnąć.

W pierwszych zaraz dniach, nie wiem jakim sposobem ująłem sobie Kaspra-kota. Kiedy inni więźniowie nie ufali mi, spoglądali na mnie z pod oka i ani słowa ze mną nie mówili, on przeciwnie zawsze się do mnie zbliżał, mrugał oczami, wskazywał nie-dojrzanym ruchem głowy na więźniów, słowem dawał mi do zrozumienia, że chce ze mną w bliższe wejść stosunki, a szczególnie rozmówić się. Muszę wyznać że poczułem jakiś tajemny wstręt do tego łotra, którego gęste aż na czoło zachodzące włosy, małe żółte oczy i wielkie zwierzęce usta czyniły odrażającym, nie myśląc już o tem że krew, zbrodniczo rozlana, wałała jego ręce. Przewyciężyłem odragę, bom sobie powiedział że człowiek ten zdolnym jest na wszystko się odważyć i ma siłę i zwinność potrzebną do tego. Starałem się i ja tedy zbliżyć się do niego, co mi się udało. Zrobiłem zaraz nowe odkrycie to jest że Kasper-kot posiadał jeszcze jedną sztukę: naśladował wybornie ziewającego a wtedy za pomocą języka i zębów wymawiał coś, co wnet, niepojętym sposobem zmieniał się w wyrazy. Z wielkiem mojem zadziwieniem usłyszałem słowa z tych rozwartych ziewaniem ust: „Wielki kamień! pomóż mi!” Co to miało znaczyć zaraz się dowiedziałem. Zwołano duże kamienie do fundamentów, największy z nich, przez niezgrabność ludzi, wpadł do dołu niepodobniestwem było, bez pewnych przyrządów, wydostać go ztamtąd. Wachmistrz Zismilch kłął co się zmieszcilo, na niezgrabiaszów. Zejdzie znowu parę godzin na próżnej robocie. Kasper-kot, wyrzekłszy do mnie owe wyrazy, odezwał się znowu głośno:

— Co to za wielka rzecz panie wachmistrzu, ja go sam ztamtąd dobędę.

Gdyby było można dużą gębą! mruknął Zismilch. Inni zaczęli się śmiać, Kasper-kot odezwał się: że są małpy i że sami nie wiedzą z czego się śmieją, bo on robi co powiedział. Kasper-kot znał dobrze charakter wachmistrza, który rzeczywiście zacerwienił się, musnął faworyty i rzekł:

— Naprzód nie rezenować, a potem pokaż co umiesz!

Kasper-kot nie czekał drugiego rozkazu, porwał ogromny drag i wskoczył do dołu. Podłóżywszy drag podniósł kamień znacznie od ziemi, był to okaz niepospolitej siły, wszyscy krzyknęli: Hura! Nawet wachmistrz i dwaj dozorczy zainteresowali się tym wypadkiem. Nagle zdawało się że siły Kaspra-kota wyczerpały się, i że kamień przygniecie go na pewno.

— Jeszcze jeden niech tu przyjdzie! zawołał.

Nie pomyślałem o tem wcale że to był wojenny wybieg, porwawszy drugi drag, bez pozwolenia wachmistrza, wskoczyłem do dołu, podłóżyłem drag, zebrałem wszystkie siły i kamień przewrócił się na drugą stronę.

— Hura! krzyczeli patrzący.

— Pomału kolego! mówił Kasper-kot naturalnym głosem, bo nikt już na to nie zważał. pomału, bo inaczej za prędko będziemy na górze!

Kiedyśmy tak z wielkiem wysileniem kamień windowali, Kasper-kot głośno żartował ze stojących nad dołem a do mnie mówił prędko, oderwanymi frazesami.

— Czy chcesz należeć do nas kolego? — lepiej nigdy nie będzie — trzeba do tego dwóch zuchów takich jak ja i ty — jest ich dziesięciu — ale dwaj muszą zacząć. — Nikt nie ma na to odwagi tylko ja a może i ty — jutro ostatni dzień — przez bramę na most, z mostu na wał, a z wału na Głacis nad brzegiem — idźcie za mną ja was poprowadzę — kto nam zastąpi drogę, zabić — wachmistrza naprzód. — A jak nas zdradzisz...

— Robić nie gadać! zawołał wachmistrz.

— Nie mogę już dłużej! rzekł Kasper-kot i rzucił drag. Dopiął swego celu o resztę nie dbał.

— Na górę! komenderował wachmistrz, rad bardzo że przechwałki Kaspra-kota nie ziściły się.

Porządek przywrócono, robota szła dalej swoim porządkiem, pracowałem za dwóch żeby pokryć wzruszenie, którem cały byłem przejęty.

Wieczorny głos dzwonka dał się słyszeć, wszyscy się rozeszli a mnie wachmistrz zaprowadził do mojej celki. Całą noc nie zmrużyłem oka, latały mi wciąż po głowie myśli o ucieczce. Że plan Kaspra-kota był możliwym przekonałem się dowodnie, rozpatrując się w położeniach: naprzód wał, potem gla-

cis zarosnięte gęstym lasem, dalej wyspa i morze. Tylko się tam dostać a już sobie poradzę! Miałem jeszcze u staręj w nadbrzeżnej wiosce, dubeltówkę i torbę. Łatwo było dostać się do Trantowitza i znaleźć pomoc u Jana. Odrzuciłem ją kiedyś, ale dzisiaj, wydostawszy się żywy z grobu, w którym mnie zakopano, przyjmę ją. Niech tylko dostanę pieniędzy a świat cały mój, znajdę drogę do Ameryki. Bądźcie zdrowi celnicy, radcy prawni, obrońcy i dyrektorzowie więzienia! Jestem wolny i żartuję z was. A ojciec? Ojciec niech sobie rozmyśla jak się surowo obszedł z synem i doprowadził go aż do więzienia jako przestępcę. Dotąd jednak nie byłem przestępcą ale czułem że nim będę, gdyż samo zetknięcie się z takim człowiekiem jak Kasper-kot nie było już przestępstwem? Widocznym było że się tu bez zbrodni, bez morderstwa nie obejdzie. Wszakże wachmistrz miał klucz od bramy na most, a nie wyglądał na to żeby go dobrowolnie oddać, i dwaj inni dozorczy nie mieli także miny tchórzów. Wszyscy trzej będą się opierać do ostatnich sił. A muszą zginąć jeżeli ucieczka ma się udać.

Wstałem z łóżka, serce biło mi w piersiach jak młot parowy. Na mnie rachował Kasper-kot i miał słuszną, tylko wtedy może się udać kiedy dwóch na raz uderzy, jeden nie znalazłby stronników. A zatem dozorca a może sam wachmistrz musi paść z mojej ręki.

Z mojej ręki! Łatwo powiedzieć! Ale czy mi w danej chwili nie zbraknie odwagi? Prawda że strzeliłem do celownika ale wtedy szło o wolność mojego opiekuna, dobroczyńcy i przyjaciela! Teraz nie był już moim towarzyszem ubóstwiany przezemnie człowiek, ale Kasper-kot, teraz nie chodziło już o to żeby w chwili uniesienia skierować pistolet w nocy na kogoś co mi stawał na drodze, teraz trzeba było popełnić morderstwo czy to rydlem, czy kilofem, czy drągiem, czemkolwiek bądź, co się w ręce dostanie. W końcu, mimo całą moją usilność nie mogłem przyjść do tego żeby zniechęcić starego. Przez jego gburowatość zewnętrzną przebiegała się zawsze ujmujący rys prawdziwej dobroci i nie raz przychodziła mi do głowy ta myśl, że naumyślnie stracił się w taką czupurność, bo wiedział że jest za miękki. A jeżeli nie byłem z nim na dobrej stopie toć sam temu winienem, on jednak ani na włos się nie zmienił. Postępował ze mną nie jak dozorca z więźniem, ale jak stary sługa z młodym paniczem, którego czasami laje ale go mocno kocha. Niekiedy przy robocie spoglądał na mnie tak rzewliwie jakby chciał powiedzieć. Biedny chłopiec! i wyrwać mi z ręki kilof i pracować za mnie. Już parę razy, kiedyśmi razem wracali, odzywał się do mnie:

— Czy jeszcze nie mamy dosyć? Nie trzeba być tak upartym i samolubnym! Nie trzeba panu rotmistrzowi i sobie zatruwać życia! Rzekłszy to zamilkł tak zawsze nazywał dyrektora.

— Co? panu rotmistrzowi? zapytałem.

— A! nie chcemy rozumieć, odrzekł melancholiznie — cóż na to poradzę. Zgadł że nie chciałem rozumieć, a jednak rozumiałem doskonale. Widziałem współczucie dyrektora dla mnie w jego oczach i obejściu się, słyszałem je w głosie, który mi tak bardzo przypominał mojego bohatera. Im częściej go widywałem, to jest co dzień prawie, tem bardziej wybijało się jego podobieństwo do nieszczęśliwego brata. Była to ta sama wysoka postawa ale złamana chorobą a może troską, ta sama piękna twarz ale daleko szlachetniejsza, daleko łagodniejsza, te same wielkie ciemne oczy ale poważniejsze, powiedziałbym boleśniej. Oczy te patrzyły na mnie smutno i mówiły do mnie. I tybys to zrobił? Czy miałbys odwagę pomyśleć o tem, a rękę żebyś to wykonał?

Ależ ja chcę być wolnym wołało coś we mnie. Co mnie obchodzi niedorzeczność waszych praw! Przeprowadziliście mnie do rozpacz, to będziecie mieli same rozpaczne czyny. Ze szkoły dostałem się tutaj, z jednego więzienia w drugie, odrzuciłem z siebie tamtą gałęź bo mi była nieznosna, mamże tę znosić tak okropnie cięższą? Czyż nie mam prawa gwałtu, gwałtem odeprzeć. Coby powiedział Dzik Zehren, gdyby był zobaczył swojego ulubieńca w więzieniu. Postarał by się żeby mnie uwolnić, chociażby mu przyszło więzienie i miasto ze wszystkich stron podpalić, jak kiedyś. Co onby zrobił to i ja potrafię zrobić! Najwyżej może mnie to życie kosztować, a wszak Dzik uczył mnie, że trzeba rzucić precz od siebie życie, kiedy już żyć nie warto.

Tak to gotowało się we mnie wszystko jak w kotłach, jak w piekle. Dziś jeszcze, kiedy tu siedzę spokojny i szczęśliwy między swojemi, dziś jeszcze ręka mi drży, kiedy to piszę.

I nie rzucajcie na niego kamieniem, że tak daleko zboczyłem od prawej drogi. Szczęście twoje, kłopotliwie jesteś co czytasz te kartki, zmarszczywszy czoło jak nieubłagany sędzia. Szczęście twoje że umiarkowana mieszanina i ciepło twojej krwi, ochroniło cię od ognia namiętności, że wczesne dobre wychowanie pokazało ci zgubny wir życia i drogę prostą! Módl się z całego serca żebyś nie był wodzony na pokuszenie, żeby nigdy nie spadła na ciebie taka noc jakam ja wtedy przeżył: kiedy było strasznie ciemno naokoło mnie i we mnie, kiedy było tak okropnie że po trzydziestu latach dreszcz mię jeszcze przejmuję.

Musiałem bardzo się zmienić, kiedy pierwsze słowa wachmistrza jakie do mnie rano wyrzekł były takie. — Jesteśmy chorzy, to nie pójdziemy dziś do roboty!

Rzeczywiście czułem że jestem chory! Czy to było zrzęcenie losu, żebym nie uczynił tego com miał uczynić? Jeżeli nie pójdę dziś do roboty to spisek nie wybuchnie. Kasper-kot rachował na mnie, rachował najwięcej na to że mój przykład pociągnie wszystkich, bo wiedzieli i czuli że ja nie ich równy. Bezemnie Kasper-kot nie nie zacznie.

— Dzisiaj nie pójdziemy do roboty, bo wyglądamy jak zmokły kot. Przedzwigaliśmy się wczoraj, a nie mamy siedmiu zmysłów jak niedźwiedź!

— O nie nie! mam nadzieję że na wolnym powietrzu lepiej mi będzie; więzienia znieść nie mogę!

— Każdemu się przykrzy; mruknął wachmistrz.

— A mnie najbardziej, tak bardzo że mam ochotę jak najprędzej ztąd wyjść!

Spojrzałem śmiało w oczy staremu, chciałem żeby przeczytał w moich oczach do czego się to ściga, ale on uśmiechał się rzekł:

— Nie wielu by tu zostało, gdyby wszyscy odeszli co mają do tego ochotę: możebym i ja odszedł!

— Dla czego nie odchodzisz?

— Bom przeżył z panem rotmistrzem dwadzieścia pięć lat, to zostaniemy u niego dopóki nie zdechniemy jak stary szczur!

— To się może lada chwila przytrafić.

I spojrzałem mu bystro w oczy, tym razem wzrok mój zrobił na nim wrażenie.

(d. c. n.)

Przygrywka samemu sobie.

Tęskno, smutno, a dokola
Niema bratniej piersi, dłoni,
A za dumą duma goni...
A kwiat Życia spada z czoła!

Patrzę w siebie... Cmentarzysko!...
Gdzież są, młode sny, marzenia?
Zima w trupy kwiaty zmienia,
Ach, a moja zima — blisko!...

Laury, sława — dźwięczne słowa!
Zamiast w laurach, w brudach czoło!
I to życie... spojrzysz w koło —
Czyż nie fraszka to jałowa?...!

Ha, miłością pierś twa płonie?
Raj w kobiecie, w przyjacielu?
Najstraszniejsza z trucizn wielu!
Serce złożysz w szyderstw łonie!

Głosisz prawdę?... Świat ci za nią
Splaci klątwę pociskami!...
Błędy bratnie serce ranią?...
Milcz! Bo skarga silnych płami!...

Chcesz ból w pieśni wylać?... Po co?
Ścisnij serce — i milcz jeszcze!
Patrz, z pocisków pełną pracą
Tam, niedoszłe stoją wieszczce!

Więc cóż milcząc, aż jałową
Fraszkę skończysz wraz z innemi....
A czy byłeś orłem, sową,
Bakiem... będziesz... garstką ziemi!...

Klemens Podwysocki.

PRZEGLĄD

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, TEATRALNY

I RÓŻNE WIADOMOŚCI.

Koncert p. Apolinarego Kątskiego — Korespondencja z Żytomierza. Kijów, pomimo że zaopatrzony jest od pewnego czasu w operę — i dał początek zawiązkom filharmonicznego towarzystwa — niemoże się jeszcze zaliczyć do rzędu miast muzycznych. Tembardziej Żytomierz, stoi pod tym względem jeszcze niżej — i pomimo licznych prób znakomitych nawet artystów, tradycja tak zwanych *dobrych koncertów*, niemal zaginęła w obu tych miastach od dawna. Tegoroczny jarmark kijowski sprowadził niemię kilku dobrze znanych, zasłużonych i miłowanych artystów — w tej liczbie, p. Michała Zawadzkiego, pianistę — p. Frimana skrzypka i p. Marka Sokołowskiego, gitarzystę. Cóż jednak powiecie — koncerta ich i wszystkich innych, niektóre powtórzone kilka razy, niezwołały tylu słuchaczy, nie odplaciły się takim rezultatem, jak wystąpienie jednego p. Kątskiego, z córką? Dobrze zainformowani utrzymują, że dochód brutto, wszystkich koncertów podczas kontraktów kijowskich, niewyrównał może połowie czystego dochodu, trzech wystąpień p. Kątskiego. Tak samo w Żytomierzu. Oprócz przepelnionego koncertu, w roku przeszłym, p. Marka Sokołowskiego, którego silnie wsparły dawne miejscowe stosunki — już nie pamiętamy dobrego koncertu. Przed kilku dniami, p. Kątski, zatelegraował z Kijowa rano, do pewnej firmy handlowej, że w dniu 3 marca da koncert — i wieczorem, niebyło już ani jednej osoby, pomimo podwojonej prawie ceny biletów choć był to u nas czas zapustny, odwiekający część publiczności, do innych rozrywek. O grze p. Kątskiego niepotrzebuję się rozpisywać. Pozostaje mi tylko wspomnieć, że mu akopanowała zawsze córka — i że panna Wanda Kątska, w grze oddzielnej, godnie reprezentowała fortepian, nawet w obec gry ojca. Na tutejszym koncercie, oprócz duetu z Don-Juana, wyekzekwowała tylko Barkarolę Wolfa, odwiedzoną przez słuchaczy, trzykrotnym wywołaniem z grzmiącemi oklaskami. Ale dowiadujemy się z Kijowa, że tam częściej występując pozyskała dank powszechny, nie tylko publiczności, ale znawców. Jeden z nich z zachwyceniem powiadał mi o grze panny Wandy Kątskiej, w kwartecie Mendelszona — w którym wykazała się, pomimo lat młodzieńskich, skończoną artystką. Niech nam wolno będzie dodać przytém, że panna Wanda Kątska, czaruje swoją powierzchownością, układem — i sposobem obejścia się w towarzystwie, co wszystko i po zejściu z estrady, otacza ją najżywszą sympatią towarzyską. Pozostaje nam tylko życzyć, żeby zdołała zdobyć sobie i utrzymać artystyczne imię, tę kartę bezpieczeństwa wszystkich ofiarników sztuki...

Ztąd, p. Kątski wrócił do Kijowa, żeby korzystając z kolei, zwiedzić kilka znaczących miast Cesarstwa — a potem przez Odesę udać się za granicę — niewątpimy też, że wszędzie spotka należne mu przyjęcie, bo kto po dwunastoletnim powstrzymaniu się od artystycznych wycieczek, znajduje na każdym kroku nieprzebrzmiałe echo gry swojej — ten za głęboko wrył się w pamięć lubowników muzyki, żeby mógł lękać się zawodu.

Kończąc, notujemy krążącą w naszych okolicach anegdotę o p. Apolinarym Kątskim, osnutą z prawdziwego zdarzenia — ale urozmaiconą w ustnem podaniu, bardzo charakterystycznie... Przejeżdżając ostatnią razą przed kilkunastu laty po drodze zwirowej do Warszawy, zatrzymał się na jednej pocztowej stacji, na chwilowy odpoczynek.

Widząc w drugim pokoju, wiszącą nad łóżkiem pocztowego pisarza, nędzną skrzypceczkę, zapytał go, czy gra i utyskiwał, że sam chciałby a niemoże, ba nawet nieśmie próbować smyczka.

— To głupstwo! to bagatela! — powiedział pisa-

— „A możebyś mi pan pokazał — spróbowałbym?”

— Dobrze — najchętniej! ot tak, niech pan trzyma skrzypkę, a tak smykem ciągnie i palcami po strunach przebiega...“ Były słowa pisarza zabierającego się na serjo do lekcji. „A cóż byś pan chciał wygrać?” dodał w końcu.

— Jeżeli można to na przykład piosnkę. Jechał kozak za Dunajem!

— „Dobrze, nie łatwiejszego! „I tu pocziwina poczał układać artyście skrzypkę, kierować smykem i palcami — czemu p. Kątski poddając się z całą powolnością, doszedł od razu niby do tej perfekcji, że wyrzepolił jakliwie obrany temat. Nauczyciel był uszczęśliwiony, — zachęcał, i radził tylko więcej śmiałości, czemu posłuszny wędrowny uczeń, przyspieszał nieznacznie takty. Nagle, przewyciężając nędzotę instrumentu, przebiegł jak błyskawicą po szorstkich strunach nutą pieśni — i przeszedł, w znane dobrze warjacje swego utworu, na ten temat. Biedny pocztarz, zdumiał się, odskoczył i z otworzonymi ustami, z podniesioną czupryną sądził się być pod wpływem czarów — nieprzewidując i nierozumiejąc mistyfikacji... Wszystko to miało rzeczywiste miejsce, tylko z niektórymi odmianami i nie w naszych, a w innych okolicach — i zamiast pisarza stacji pocztowej, był lekarz na prowincji, który mając się za melomana i biegłego egzekutora, dawał swoje uwagi znakomitemu artyście — niewiedząc z kim ma do czynienia.

J. P.

Wanda, komedia we trzech aktach, oryginalnie przez Zofję Mellerową napisana. Gdyby nie to że nienależny z góry wydawać tajemnicy rozwiązania pewnego dramatycznego utworu, można by najwłaściwiej dać tej sztuce tytuł: chybione małżeństwo; znalazł się bowiem młody człowiek, niezamożny, który niemiłosiernie odepchnął białą i pulchną rączkę, niepokalaną czystą, a wyciągającą doń półtora miliona posagu, a to dla tego że osoba do której należały te akcesoria nie odpowiadała jego charakterowi i wreszcie... że się zakochał w innej, w ubogiej. Oto treść sztuki.

Tym fenomenalnym człowiekiem, którego rzeczywiste warto było podać do wiadomości społecznych i potomnych, był Władysław Oliwa, syn zbankrutowanych przez szumne i nieogłędne życie, marszałkostwa Oliwów. Przeznaczony ten młodzian, gospodarczą pracą i umiejętnością uratował i podniósł resztkę niedogasłej fortuny rodziców, którzy szczupłą mając fundusz osobisty, żyją jednak po dawnemu z procentów od posagu pupilli swjej, Dalii sieroty, którą przy śmierci opiece ich powierzyła matka, i to z życzeniem ażeby Dalję wydali za mąż za Władysława.

Tu musimy zrobić kilka przypuszczeń dla uciśnienia gderań zdrowego rozsądku. Nasamprzód przypuścić trzeba że matka Dalii musiała być bardzo nierozsądną, zostawiając córkę na opiece znanych utracjuszków i ludzi lekkomyślnych, a jeśli uczyniła to przez przyjaźń, to kochała ich więcej jak interes własnego dziecka. Powtóre, że pan marszałek musi być człowiekiem bardzo nikczemnym, jeżeli cudzem dobrem okupuje własne zbytki; potrzebie że i ów idealny Władysław, jakoś kuleje na duszy, kiedy wiedząc o wszystkim i krzywiąc się na to, nie jednak nie przedsiębrał, ażeby dom rodzicielski od podobnej sromoty uwolnić. Wprawdzie zarzuty te tłómaczą się tam czemś, tyle, wiele potrzeba ażeby autorka sama przyznała się do ryzykowności podobnej sytuacji, lecz niemniej sytuacja ta potrzebuje znacznego ustępstwa.

Dalja, świetna ale płocha lwica, bez serca i delikatności uczuć, zdolna i strojna, jest antypodem cichego, poważnego i pracującego Władysława, który ją męczy uwagami i usiłowaniami przerobienia jej charakteru. Nie kocha go wcale i więcej znajduje przyjemności w towarzystwie Alfonsa, takiegoż letkiewicza jak i ona, który radby Władysława o sto mil odsadzić, by nie stał między nim i posagiem Dalii. Władysław także jej nie kocha, i więcej krzywi się na nią niż się jej zaleca, czuje że to nie dla niego żona, a z tem wszystkim przygotowaniem do małżeństwa idą swoim porządkiem, i niebawem nastąpiłoby wesele, gdyby nie bezsenność marszałka, przeciw której jedynym środkiem była muzyka.

Ażeby ratować tak nieoszacowane zdrowie i życie, na zalecenie lekarza przyjęto w dom młodą, pracującą sierotę, córkę po stolarzu, Wandę, która miała obowiązek usypiać marszałka, grając mu do snu po kilka godzin. Władysław, poznawszy wysokie zalety

umysłu i serca tej panny, szalenie się w niej pokochał, otrzymał wzajemność, czułością zmusił do wyznania, i postanowił zerwać stosunek z Dalją.

Tu znowu nasuwa się nam pytanie: czy taka dziewczęta za jaką autorka chce podać Wandę, uczynić coś podobnego? Nie jej rzecz rozbiierać, czy Dalja z Władysławem będą dobraną parą, i lubo ona tego tu nie czyni, jednak nie uważa tego że dla niej Władysław, w domu w którym przyjęła obowiązek jest rzeczą świętą, nietykalną, i że w tymże samym domu w wigilję jego zaręczyn z inną, pod żadnym względem niewolno jej wyznawać że go kocha, ale raczej na największe jego nalegania odebrać mu wszelką nadzieję, choćby serce padało się z miłości. A zkad Wanda mogła wiedzieć że tem nagłem i nierozsądnem wyznaniem nie zabije całego życia Dalii, która miała prawo do serca narzeczonego i mogła go namiętniej jeszcze kochać niż ona? Gdyby tak wszystkie szlachetne panny postępowały jak szlachetna Wanda, to rozerwanie małżeństw mogło by stać się powszednią zabawką. Nie idzie za tem ażeby Władysław nie miał zerwać nienawistnego sobie związku, owszem, ale taka Wanda nie może mieć w tem jego postanowieniu najmniejszej inicjatywy; inaczej słusznie naraża się na wszystkie te impertynencje jakie ją potem od Dalii i od rodziców Władysława spotkały. Może nawet zostać jego żoną, lecz izby wyjść czysto z tej sprawy, nieprędzej winna ośmielić konkurenta aż po zerwaniu i zatarciu śladów dawnego stosunku. Ale z wiedzą, w przeddzień zaręczyn przyjmować jego zapasy, pod jednym, dachem i objawiać mu swą miłość, — to albo moralnie niepiękne, albo w danym charakterze fałszywe.

Dalja, lubo nie kocha Władysława, ale dowiedziawszy się o tem, w uczuciu pychy znieść nie może myśli, ażeby narzeczony jej nad nią przeniósł jakąś stolarczankę. Próbuje groźby, obelgi, prośby i ofiary, połowy majątku na odstępnę, ale Wanda nie odstępowała. Wyzłościwszy się więc, wyśmiałwszy się z Władysława, którego nazywa Donkiszotem, i z jego Dulcynei, opuszcza Dalja ten dom pocieszając się myślą, że ma mężów pełną szkatułę, ku wielkiej radości Alfonsa, rachującego na jej sympatję i dobre stosunki.

Teraz dopiero kolój na rodziców, którzy tylko w chwili odjazdu Dalii dowiedzieli się co zaszło w ich domu. Niezadowolenie ich niema granic, gdyż razem z bogatą synową tracą perspektywę zbytku i ograniczyćby się musieli na piętnastu tysiącach dochodu z własnego majątku. Z synem poradzić nie mogą, ale Wandę lżą bez miłosierdzia i wypędzają z domu. Jednak Wanda uznała beztakt swego postąpienia, i uważała że w ten sposób nie może opuścić gościnnego domu, w który wprowadziła zamieszanie.

Naznacza więc potajemną schadzke Władysławowi, ażeby mu stanowczo ręki swjej odmówić. Jakież to późno dla uczucia godności i logiki! I w tem też jej postanowieniu znalazła autorka zrzeczość, okazania całego niedołęztwa scenicznego. Wanda bilecik wzywający na schadzke Władysława, ów zużyty bilecik w komedjach, powierza pokojówce domowej, oczywiście dla tego ażeby pokojówka niosąc go przed nosem marszałkostwa, po pewnem zdrzaganu oddała im go w ręce. Oczywiście też że marszałkostwo, ciekawo celu i ukryci, obecnymi będą przy schadzce, w której Wanda czuła tyradą da dowód zaparcia się i poświęcenia, zaklinając Władysława aby uległ woli rodziców i zapewniając, że nigdy zamaż za niego nie wyjdzie. Wzruszeni tą pastorałką rodzice, którzy się tego najmniej spodziewali, a przytem już i tak związek z Dalją mając za stracony, przejednali się i błogosławieństwem uszczęśliwili dwoje zakochanych. Wszystko to wprawdzie mogło się odbyć na słowo, bez sceny żadnej która jest przewidzianą, nudną i przypiętą jak piąte koło do woza.

Pomimo tak smutnego zakończenia: pomimo że główne sytuacje komedii oparte są na absurdach, winniśmy przyznać że w całości nie brak jej akcyi, i pod tym względem autorka znacznie się posunęła za *Złote Runo*. Lecz i tu dużo jeszcze byłoby do powiedzenia. Wchodzi tu na przykład lekarz, w osobie p. Grzywińskiego; i ciekawym poco on tu wprowadzony? Dlatego ażeby w pierwszym akcie opowiedzieć stan, zatrudnienie i sposób myślenia Wandy; następnie przychodzi na chwilę Wanda w swojej osobie, dopowiada niemal to samo co i on, i wychodzi. W tym tedy akcie wprowadzenie tych dwojga osób uczynionem jest tylko chyba dla pokazania ich

fizjonomii, i dlatego ażeby Władysław w okno zapatrzył się za odchodzącą Wandą, co ma znaczyć że mu się podobała, ale z czego, doprawdy nie wiemy. W drugim akcie, na wsi znowu ukazuje się lekarz dlatego tylko, ażeby ułatwić widzom dowiedzenie się że Wanda zakochana we Władysławie: miał ją zaraz uprowadzić do Warszawy, ale nie uprowadził i sam zniknął. Pocóż więc przyjeżdżał, wszak Wanda i sama mogła nam dać poznać swoje uczucie? Wanda więc niepotrzebna całkiem w pierwszym akcie, a lekarz w żadnym, bo to co on czyni, w dobrych komediach odbywa się gdzieś zewnątrz sceny i gotowe na nią zstępować, a każda osoba nie wywierająca wpływu na przebieg akcyi jest czynnikiem rozwickającym i osłabiającym.

Najżywotniejszym i jedynym oryginalnym, nakreślonym z pewną prawdą, charakterem, jest Dalja: to największa zaleta sztuki grą pani Modzejewskiej podniesiona do wysokości udatności, dwa elementa, dumy i ironii, pochwyliła artystka w złoście kleszcze swego talentu, gracyą osobą i słowami, okupiła to co było niesympatycznego w charakterze ujemnie wziętym przedstawionej postaci, była tak żywą, dowcipną, szatańsko-uroczą, że nie jednemu ani w myśli nie powstałyby skrupuły Władysława, i wzięłyby to lichu pełne wdzięku, choćby mu przyszło życiem cierpienia, okupić chwilę radości z posiadania takiego klejnocika. Ci poważni agronomowie, myślący pracownicy, *pia desideria* naszych dramaturgów, wierzytelne kopje jednej i tej samej postaci, znaleźli nowe odbicie we Władysławie, którego rolę nietrudno było odegrać p. Tatarkiewiczowi, gdyż ona składa się mniej więcej z tych samych sytuacji, z tych samych danych nieco inaczej wypowiedzianych, jakie ten artysta ma dawno w swym repertuarze; odegrał też ją pogodnie i szlachetnie. Alfons, Inbo także kopja, ale mająca życie, wcale niezłego tłumacza napotkała w p. Szymanowskim; szczególnie scenę wewnętrzną a niemniej radości, na wieść o zerwanym związku Dalii z Władysławem, dobrze mu się udało: nie jego wina jeśli płaskim wydawał się w niektórych innych miejscach, stąpając po płaszczyźnie nadętych umyślnie frazesów w jakie rola jego obfituje. Za to postać Wandy, postać niby naczelną, tytułową, jest to istny mannekin wypchany frazesami, w którym duszy nie więcej jak w suchym drewnie, tem nieznośniejszy, że ma pretensję przedstawiać bujną życiem i barwną kolorami roślinę. Gra też pani Przedpełskiej w zupełności odpowiadała samej kreacji: głos z natury piękny a nużący w grze jednostajny, recytował zadaną lekcję; fizjonomija w chwilach wstrząśnięć duchowych wyrażała raczej jakieś skrzywienia z fizycznych pochodzące dolegliwości: słowem była to parodia zakochanej osoby, dziwnie kontrastująca z wykończoną i swobodną grą przeciwniczki.

Sam pan marszałek Oliwa, jako charakter dramatyczny jest to nic, ale i świat stworzony z niczego; pan Żółkowski chwycił się tego samego środka, w próżnię tchnął swego ducha, spojrzął po swojemu, rzucił głową jak to on umie, nadał pewien właściwy sobie akcent jakiemuś słowu, skrzywił się z bólu atrytycznego, słuchacze się rozśmiali — i była rola. Oczywiście jak sztuka oprze się na takich dwóch filarach jak Modzejewska i Żółkowski, toć się nie tak łatwo wywróci, chociażby i nie miała sama w sobie dostatecznej spójności.

W samem stylowym obrobieniu, w dykcji, stoi ona nierównie wyżej jak w budowie. Jest tam potoczność, znajduje się i myśl trafna i czasami niezły koncepcik, a język w ogólności poprawny. Nie wiem tylko czy potrzebnie autorka z bogactw nasz dykcjonarz botaniczny kilkakrotnie powtarzającym się w jej sztuce wyrazem: *margierytka*, co, o ile sądzimy z francuskiej analogii, doskonale u nas nazywa się *stokrotką*, zwłaszcza że tam mowa jest o kwiatach leśnych i polnych, które nie wiem czy lud nasz nazywa z francuzka.

X.

O RĘKAWICZKACH.

Mniemanie, że tylko paryżkie rękawiczki pięknym fasonem i wybornem szyciem się odznaczają, ustaje powoli. Z postępem czasu zakłady nasze białoskórnicze, i szwaczki szyciu rękawiczek poświęcone coraz bardziej się doskonalą; podnosząc wyroby krajowej grosz dawniej za granicą wydawany, coraz więcej, u nas pozostaje, i rzeczywiście rękawiczki nasze, tak pod względem wyboru, wyprawy i pięknie nadanej

barwy skórze, jak i pod względem fasonu i odszycia nie do życzenia nie pozostawiają, nieustępując bynajmniej paryskim, szycącym się nazwiskami firm najznakomitszych. Cena naszych wszakże znakomicie niższa, choćby różnicę tylko podnosić miała opłata cła, transportu i kommisowego, krajowych wyrobów nieobarczająca. Uwagi te nasunęło nam zwiedzenie w tych czasach zakładu rękawiczniczego pani Wierzbowskiej, na rogu Czystej i Wierbowej ulicy położonego. Wprawdzie sklep na pierwszy rzut oka nie wielki, może w nie jednym budzić obawę że trudno mu będzie wybór zrobić, lecz po bliższym rozpatrzeniu wkrótce pomyłkę swoją spostrzeże, tyle tam gotowego towaru pomieścić umiano, a symetryczna i arcy-dogodna lokacja rękawiczek, sprawiając miły widok dla oka, kupującemu oszczędza nudnych chwil szukaniażądanego numeru. Obfitość, wyborowe gatunki, fason piękny, zręczny i dogodny, wybornie kształt ręki uwydatniający, szycie mocne i staranne, wszystko to pewne warunki, dające rękojmią zadowolenia gustu i wymagań choćby kapryśnej nawet modnisi, oszczędniejszemu zaś kupującemu, trwałego i korzystnego znośnienia rękawiczek.

Zamieszczone poniżej ceny dozwolą, czytelnikom, własny sąd wydać i nim się kierować.

Dodamy tylko że obecnie panująca moda ruguje zupełnie szersze tamburkowe wyszycie wierzchu rękawiczki; najpyszniejszego gatunku rękawiczki zdobi jedynie wazniuchny potrójny sznureczek odszyty kolorem rękawiczek.

Zakład ten posiada rękawiczki, w cenie począwszy od pół rubla, a i w tej nawet powyższe warunki o ile możliwości zachowano. Cena to wszakże zbyt niska ażeby wyborowego gatunku się spodziewać. Najwięcej w tej cenie czarnych się wyrabia, męskie od 60 kop. się odstępują.

Ze zwykłej skórki rękawiczki na dwa guziki spięte, piękną i świeżą barwą się zalecające od 75 kop. do wyższych cen dochodzą, w miarę gatunku skóry; odpowiednie męskie od 1 rs.

Piękne kozłowe, najzupełniej paryskim nieustępujące, zwykłym szwem szyte od 1 rs.; na 2 guziki 1 rs. 20 kop.; stebnowane od 1 rs. 35 kop. 1 rs. 50 kop. męskie kozłowe od 1 rs. 50 kop.; na 2 guziki 1 rs. 20 kop. do 1 rs. 35 kopiejek.

Zamszowe czyli jelonkowe tak praktyczne w codziennem użyciu pięknie odszyte i z wyborowego gatunku: damskie 1 rs. na 2 guziki 20 kop. przybywa — męskie od 1 rs.; 20 kop. do 1 rs. 50 kop.

Damskie na 60 kop. męskie na 75 kop.

Widzieliśmy tam także bardzo dogodne i praktyczne rękawiczki jelonkowe, z grubiej skóry potrójnym szwem szyte, długie i dostatnie, w cenie od 1 rs. 50 kop. do 3 rs. Balowe białe na kilka guzików spięte, z przesłoniczną delikatną skóreczką od 2 rs. do 2 rs. 25 kop. Dziecinne stosunkowo mniejszymi cenami oznaczone.

Zakład ten mając bezpośrednie stosunki z Paryżem, zaopatrzyl się obficie w wybór najlepszych perfum *Lubin*, których w cenie 1 rs. za flakon sprzedaje. Jak również *Vinaigre de toilette* po 1 rs. 20 kop. za flaszke.

Panowie znajdą tamże piękny dobór paryskich krawatów, najmodniejszych fasonem, barwą i z wyborowego materiału w cenie od 2 rs. do 4 rs. jakoteż śliczne krawatki damskie zupełnie w nowym guście od 60 kop. do 3 rs.

W jednym z pism francuzkich poświęconem dla kobiet, zdarzyło nam się natrafić na artykuł traktujący o przysługach niezbędnych, które pannie służąca, pragnąca wiernie i dokładnie spełniać swoje obowiązki, cechować winna. Po przedwstępnych uwagach co do powierzchowności, wychowania moralnego i fizycznego uzdolnienia osoby, która ten stan sobie obrała, następują różne przepisy i stosowne spostrzeżenia, co do utrzymania w należytych porządku powierzonych bielizny, wywabiania plam i odświeżania podniszczonych rzeczy. Przepisy choć arcy dawne i może wielu osobom znane, jednak dla niektórych pewną nowość i praktyczność zawierać mogą, oszczędzając nieraz grosz za dom bezpotrzebnie wydany.

Najpierw idą uwagi co do porządku, w jakim zdjęte suknie pani, panna służąca utrzymać winna,

że wełniane wybornie z kurzu i pyłu, miotełką lub twardą szczotką oczyszczać się dają, a jedwabne tylko miękką płócienną ściereczką wycierać należy, lekko zaś suknie nie znoszą żadnej szczotki ani miotełki i tylko trzepać je wypada przed odprasowaniem, jeżeli materiał znosi gorące żelazo. Kapelusze wytrzepane gęstem piórem na ten cel przeznaczonym, z kurzu zupełnie ogołocone będą. Aksamitne kapelusze i inne z tego materiału przedmioty, tylko drewnianą kłapeczką, w kilkoro krepą obitą czyścić należy. Strój zaś z kwiatów lub piór kapelusze zdobiący, tak prędkiemu zgnieceniu zwykle podpada, że potrzeba je każdodziennie starannie opatrywać, zwinęte lub zmiętoszone listeczki podnosić delikatnie końcami palców, a pióra które nie wielka nawet wilgoć rozfrizowywa, należy lekko szczoteczką bardzo miękką pogłodzić i pył zebrać, następnie potrzymawszy niedługą chwilę nad ogniem, fryzować ostrzem szerokiego i tępawego nożyka, którym się kilkakrotnie wzdłuż pojedyncze szypułki pióra pociąga, co im pierwotną świeżość powróci.

Obuwie damskie wymaga także dużego starania. Atlasowe trzewiki tylko cienką ściereczką, lub miękką szczotką się wyciera. Buciki lakierowane lub kozłowe ślicznie się czyszczą gąbką zwilżoną mlekiem, co im połysk zachowuje, i od pęknięcia strzeże.

Ponieważ bardzo pożądaną i potrzebną jest rzecz, aby panna służąca umiała prać koronki i blondyny, kilka przepisów prania takowych pomieszczono w tymże artykuliku.

Pranie blondyn. W deszczowej letniej wodzie rozpuszcza się kawałek mydła białego, w rozczyntę tej macza się blondyna, wystrzegając tarcia, następnie płucze się ją w czystej wodzie w której zanurzono poprzednio, związaną w gałganek farbkę w proszku. Susząc, należy delikatnie wyciągać, co także powtórzyć drugi raz wypadnie, po powtórnem zamoczeniu przesuszanej blondyny w wodzie gummą arabską zaprawioną. Skoro pomiędzy dwoma ręcznikami tyle uschnie że zaledwie wilgotna będzie, prasuje się przez ręcznik, niezbyt gorącym żelazem.

Bardzo szerokie blondyny można suszyć, w ramach rozpinając, i gumować za pomocą delikatnej gąbki, napuszczając wodą z cukrem lub gummą tylko.

Pranie kołnierzyków koronkowych. Dotykając włosami kołnierzyków, brudzi je bardzo prędko, zatem prać się zacznie kołnierzyk, wypada go napróżd ułożyć na ręczniku, przykryć drugim, i mocno naciskać, ażeby tłusty brud, na ręcznikach został, następnie w wodzie tak samo jak do prania blondyn przygotowanej, kilkakrotnie zamaczawszy, rozpina się już zupełnie czysty, na stole miękkim podesłanym, i gąbką umaczaną w wodzie gummowej w której trochę farbki rozpuszczono, macza się na nowo kołnierzyk. Skoro w połowie już podeschnięty, prasuje się go na lewej stronie. Tiul tak samo prać można.

Tłuste plamy najlepiej się wywabiają, z rzeczy wełnianych nakładając na nie grubą warstwę, mialko tłuczonej kredy, lub gliny suchej garncarskiej, po której gorącym żelazem przeciąga się. Stearyną skapana materia, winna być poprzednio lekko wyskrobana szczyrkiem, następnie przez położoną na plamie bibułkę wyprasowana; manipulacja ta dotąd się powtarza dopóki znak na materji pozostaje, uważając ażeby za każdą razą inną bibułkę położyć. Plamy woskowe tak samo się wywabiać mogą.

Na jedwabnych zaś materjach, atlasach, morach itd. **plamy tłuste** następującym sposobem znikną bez śladu. Parę kropel oczyszczonego spirytusu nalać na plamę, i przykrywszy ręcznikiem, prasować gorącym żelazem, za każdym pociągnięciem zmieniając ręcznik. Splamione miejsce zrazu straci połysk, ponieważ zawsze jakaś odrobiona tłuszczu pozostanie, nabierze jednak zupełnej świeżości, skoro się je wytrze kawałkiem płótna cienkiego, napojonego kilka kroplami eteru siarczanego (ether sulfurique) eter, najmniejszy ślad i koła ciemniejsze zwykle po wywabianiu plam pozostające, zniszczy zupełnie.

Swędra owocowa zniknie z materji bawełnianych białych lub kolorowych, pewnych i dobrych barw, jeżeli się ją namoczy rozczyntem chlorku sodu: (chlorure de soude) Należy napróżd natrzeć plamę zimną wodą z mydłem, a następnie pędzelkiem umaczanym w chlorku sodu z lekka dotykać swędrę, którą w tej samej chwili trzeba w przygotowaną na mie-

dnicy wodę zimną zanurzyć głęboko, ażeby kwas nie nadto działał.

Atrament wywabia się z materji białych, sokiem cytryny, zagotowanym nad świecą na łyżce srebrnej, ażeby w wrzący kwas zamaczać było można przedmiot splamiony. Choćby plamy nie zaraz znikły, to z pewnością niepozostawią żadnego śladu w ciągu paru prań. Na kolorowych materjach świeżo rozlany atrament, ciepłą wodą zmyje się zupełnie. **Rdzą** tak samo zniszczyć można, pamiętać tylko należy, aby w tej chwili kwas zimną wodą zapłukać.

Olejną farbą splamiona jakakolwiek materia, za pomocą ekstraktu terpentynowego puści niezawodnie. **Zmięta i wyszła z gummy krepą**, nabierze potrzebnej sztywności, jeżeli się ją potrzyma nad lejkiem, postawionym na naczyniu pełnem wrzącej wody; nad wydzielającą się parą krepę dotąd trzymać należy, dopóki cała dobrze nie zwilgotnieje, po czem rozwiesić ją trzeba lub z lekka śpilkami przypiąć na czystym stole, a odświeżyć się należyście. **Do prania rzeczy jedwabnych** następującą mieszaninę zaleca: włóż w nowe polewane naczynie jednakowe części, mydła szarego, miodu i wódki. Skoro ingredience te dobrze się zagrzeją, trzeba je ciągle mieszać, i nareszcie przestudziwszy nieco, prać materję, równo na desce rozłożoną, miękką szczotką, zwilżając ją w przygotowanej mieszaninie, i trąc miesce koło miejsca, porozparane i z podszewki zdjęte przedmioty lub wstążki. W trzech dużych naczyniach mieć nalaną wodę zimną deszczową, i kolejno maczaj w niej każdy prany kawałek z osobna, trzymając go za dwa końce; należy uważać ażeby wodę często zmieniać, zwłaszcza ostatnią. Skoro prane kawałki rozwieszone na sznurze, ociekną z wody, trzeba je równo położyć między dwoma maglownikami, i wilgotne prasować przez płótno.

Do czyszczenia szczotek od włosów, następująca woda jest wyborna. Rozpuść kawałek sody wielkości orzecha włoskiego, w kwarcie ciepłej wody i oczyszczoną z włosów szczotkę zanurzaj kilkakrotnie w miednicy, uważając ażeby wierzch suchy pozostał, a opłukawszy w czystej wodzie, susz na słońcu lub przy ogniu. Mycie szczotek mydłem bardzo je psuje; grzebięni nigdy myć nie należy, lecz czyścić na ten cel przygotowanymi szczoteczkami, i ocierać z wierzchu ściereczką.

Do mycia głowy radzi wodę zaprawiać w podobny sposób. Za 10 kop. boraxu, wsymp w kwartę wrzącej wody, dolęj pół kwarty oliwy, dobrze wymieszaj i skłóć to razem, a jak przestygnie włóż w butelkę. Przed każdym użyciem skłóć w butelce mieszaninę, którą zlewa się kawałek flaneli i naciera głowę. Kamfora z boraksem rozpuszczona w gorącej wodzie, doskonałą jest także jak również woda rozmarynowa z trochę boraxu bardzo dobrze czyści głowę.

Skoro po użyciu której z tych wód, włosy dobrze wyschną, potrzeba je koniecznie spomadować, żeby należyty lustr i połysk odzyskały.

Komu włosy wychodzą z korzyścią może następującego przepisu użyć.

Zmieszaj równe części oliwy, spirytusu rozmarynowego i bergamotowego ekstraktu. Nacieraj tą masą korzenie włosów każdego wieczora, a na pewno włosy nie tylko wypadające przestaną, ale rosnąć znakomicie zaczną. Przepisy domowej bardzo taniej a doskonałej pomady są następujące: Weź funt sadła i dwie stołowe łyżki oleju rycynowego, złącz obie te tłustości bijąc je mocno widelcem, dodaj olejku z jakim życzysz sobie zapachem i w słoiki układaj.

Drugi przepis. Wybierz z kości wołowych szpik świeży, pokraj na drobne kawałeczki, złóż w mały garnuszek, który postaw na ogniu w naczyniu wodą gorącą napełnionem i zostaw dopóki się szpik nierozpuści zupełnie. Baczna zwróć uwagę ażeby woda nie doszła do garnuszka ze szpikiem, lub żeby się niewygotowała, zostawiając powierzchnią garnuszka niezanurzoną w gorącej wodzie. Skoro szpik stopi się zupełnie, wylęj go na sitko włosiane i zbierz tylko samą czystą tłustość, do której dolęj trzecią część olejku ze słodkich migdałów, zaprawiając tę pomadę ulubionym zapachem, a najlepiej bergamotowym olejkiem.

Bandolina. Wziąć ziarenkę pigwy i namoczyć ich w flaszeczce wody zimnej. Niezadługo woda ciągnąć się zacznie i doskonale włosy wedle potrzeby przykleja do czoła. Uważać należy ażeby długo moknące pigwy, nie zawiele gumy wodzie udzieliły.

T R E Ś Ć.

N. 1. Suknia z długą tuniką. — N. 2. Ubranie małej dziewczynki. — N. 3. Ubranie kostiumowe dla młodej osoby. N. 4. Alfabet z pojedynczych liter. — N. 5. Kolderka dla dziecka. — N. 6 i 7. Szlak wyszywany. — N. 8. Koldra na drutach. — N. 9. Frenzla szydełkowa. — N. 10 i 11. Frenzla wiązana. — N. 12. Czepek dla starszych osób. — N. 13. Ubranko dla starszej osoby. — N. 14. Ubranie młodej mężatki. — N. 15. Ubranie młodej panny. — N. 16. Szydełkowy woreczek. — N. 17. Okrągły wieniec ślubny. — N. 18. Girlanda ślubna. — N. 19. Ślubna suknia z szelkowem ubraniem. — N. 20. Ślubna suknia z gorseciem.

N. 1—3. Suknia z długą tuniką.

Okrągłą spódnicę z wełnianej jednokolorowej tkaniny lub materji, ozdabiają falbany i riusze z wierzchniego materiału. Tunika także podobnym garniturkiem przybrana, formuje z przodu rodzaj fartuszek; kokardy podpinają tunikę na bokach, a w tyle na 30 cent. od dolnego brzegu, podejmuje się tunika. Stanik wycięty „à la Watteau,” uzupełnia szmizetka z szerokiej koronki, i odpowiednie mankiety przy rękawach, przybrane riuszami i kokardami.

N. 2. Ubranie małej dziewczynki.

Na spódnicę z bluzką z materiału w szerokie pasy, idzie tunika z gorseciem bez ramionek węższe pasy, tego samego cieniu. Tunika naszywa się ciemniejszymi pliskami.

N. 3. Kostium dla młodej osoby.

Spódnica z gorseciem z aksamitu „Wiktoria.” Naszyte spódnicę i bluzka z kaszmiru lub materji tego samego cieniu albo odmiennego koloru, bardzo się ładnie wydaje. Brzeg gorsecika osztyt rurszami ze wstążki lub koronki; na aksamitnym wykładzie, podłużnie wyciętej bluzki, wywinięty jest modny kołnierzyk płócienny, koronką obsztyt.

N. 4. Alfabet z pojedynczych liter.

Ozdobne te cyfry z koronami, wyhaftowane rozmaitym ściąganiem na chustkach, poszewkach, obrusach, itp. można także wyszyć złotem i kolorowym jedwabiem na pudełeczkach, poduszczykach i innych przedmiotach. Wybór liter przedstawionych, zależy zupełnie od gustu, co zaś do przeróżnie użytych ściągów takowe są tak dokładnie przedstawione na rycinie, że nie potrzeba żadnego opisu.

N. 5. Kolderka dla dziecka.

Ściąg sznurkowy i frywolitki.

Zmniejszony format ryciny 5 przedstawia kolderkę złożoną z gęstych i przezroczystych pasów, które mogą być bardzo rozmaite, jeśli poszukamy odpo-

wiednich deseni w zeszytych numerach Tygodnika. Bardzo pięknie wydają się w takich kolderkach gęste pasy kolorowe lub białe na kanwie Jawa, albo wyszyte na perkalu sznurkowym ściągami. Pasy przezroczyste dają się z wszywek frywolitkowych, szydełkowych lub siatkowych, przewlekane kolorową wstążką, albo podłożone innym materiałem, którym się cała kolderka podszywa. Jeśli pasy są wyszywane, wypada dać jako uzupełnienie szlaczek w odpowiedni deseń i zęby; można dać także koronkę taką jak wszywki, lub frenzlę. Na koldry wełniane, zalecamy pasy wyszyte prędkim ściągami na kaszmirze lub flaneli; gęste pasy mogą być także odrobione szydełkiem zwyczajnie, albo tunetańskim ściągami. Przezroczyste pasy frywolitkowe z włóczki kolorowej albo białej, bardzo dobrze przy nich odbijają.

N. 6 i 7. Dwa szlaczki.

Szlaczki powyższe, wyszyte kolorowym jedwabiem na suknie albo aksamicie w najrozmaitszym cieniu, stanowią piękne przyozdobienie przy lambrekinach rozmaitych i zalecają się prędkim wykonaniem.

N. 8. Koldra na drutach.

Materiał: Estramadura (N. 6) 5 odpowiedniej grubości drutów stalowych.

Skrócenie, ocz. zamiast „oczko,” pra. zamiast oczko zrobione „na prawo;” le. zamiast oczko zrobione „na lewo;” pod: zamiast „oczko podniesione” zdje: pr. zamiast zdjęte na prawo;” przeciag: zamiast 1 oczko przerobione i poprzednie oczko przez niego przeciagnięte; nałożyć co wyraża, nitkę roboczą, nałożoną raz, lub parę razy sto-

rych idą na przemiany gładkie i prążkowane pola między przezroczystymi promieniami.

Siedem takich gwiazd, podług opisu później złączonych zajmują szerokość koldry na 120 cent. dwanaście gwiazd 204—208 cent. wynoszących, stanowią jej długość. Na każdą gwiazdę, nakłada się 8 oczek, złączonych w kółko, które się następującym sposobem obrabia.

1. Rząd. Nałoż. 1 prawe, ciągle na przemiany; 2 rząd. Gładko na prawo. 3 rząd. Nałoż. 2 pra. ciągle powtarzać. 4 rząd jak drugi rząd. 5 rząd*. Nałoż. podw. 1 pra: przeciag. nałoż. 1 pra. powtórzyć od* 6 rząd. gładko na prawo. 7 Rząd* nałoż. podn. 1 pra. przeciag: nałoż. 2 lew. nałoż. podn. 1 pra. przeciag. nałoż. 2 pra: powtórzyć od* 8 rząd. 3 pra. 2 lew. 5 pra. ciągle powtarzać. 9 rząd* nałoż. podn. 1 pra. przeciag: nałoż. 3 pra. od* powtarzać 10 rząd. gładko na prawo. 11 rząd* nałoż. podn. 1 pra. przeciag: nałoż. 4 lew. nałoż. podn. przeciag. nałoż. 4 pra. Powtarzać od*. 12 rząd. 3 pr. 4 lew. 7 pr. ciągle na przemiany.

Opierając się na dokładnej ryc. 8 niebędziemy już szczegółowo opisywać następujących rzędów: przybierać trzeba w rozmaitych polach, w każdym rzędzie deseni równo po 1 oczku i to tak długo póki się niedoliczymy 13 na lewo, i jednego od nich wychodzącego na prawo odrobionego paska. Na tem kończy się gwiazda, ale oczek nie trzeba oblańcuszkować. Gładkie na prawo robione pola gwiazd, zszywają się oczkami nieoblańcuszkowanymi z sobą, przez co w robocie nieznaczą przełamania. Między 4 tak połączonymi gwiazdami pozostawiać próżnię, w rodzaju kwadrata, zapełnia się robiąc dalej w kółko, do połowy gwiazdy odrobione pola, póki się oczka niezejdą z sobą, jak to się zwykle robi, przy koldrach w kwadraty. W każdym drugim rzędzie, dwa

pierwsze i ostatnie oczka, robią się razem, a 4 ostatnie oczka, zszywają się z sobą. Początkowe oczka gwiazdy, ściągają się ściśle i przytwierdzają nitką. Trójkąty wypadające przy brzegach dorabiają się także jak kwadraty, ale tyle tylko, ile wymaga prosta linja brzegu. Wszystkie cztery strony koldry, oszywają się szerokim przezroczystym szlakiem szydełkowym i na drutach albo frenzlą, na którą ryc. 9—11 podają osobne przykłady.

N. 9 — 11. Trzy próbki frenzli.

Robota szydełkowa i rodzaj wiązania.

N. 9. Szydełkowa frenzla. Główną część frenzli składają osobno odrobione, a potem spajane z sobą gwiazdy szydełkowe, którym się jako nagłówek dodaje obrobienie ściśłych oczek i słupków. Odrabia się na środkowy pierścień gwiazdy 12 oczek, łączy je i obrabia w 2im rzędzie gęsto, 18 śc. oczkami. Nieprzerwywając nitki, robią się w 3 rzędzie jedna z drugiej wypływające pętelki łańcuszkowe w kółko pierścienia, jak je w naturalnej wielkości N. 9 przedstawia. Połączenie każdej gwiazdy z są-

siednią, objaśnia również rycina; u każdych dwóch dolnych pętelek, przywiązuje się frenzla dosyć długa.

N. 10—11. Dwie wiązane frenzle. Górny brzeg frenzli, stanowi układany w ślimak i zszywany sutasz, który na ryc. 10 otacza się jeszcze łańcuszkami szydełkowymi. złożonymi z 1 śc. oczka w pętelce su-



N. 1. Suknia z długą tuniką.

N. 3. Ubranie kostiumowe dla młodej osoby.

N. 2. Ubranie małej dziewczynki.

sownie do opisu na drucie, i potem jako oczko przerobione.

Koldra którą rozeznaczyć można na zmniejszonym formacie, składa się z pojedynczych gwiazd, odrobionych na drutach, 17 cent. średnicy mających, w któ-

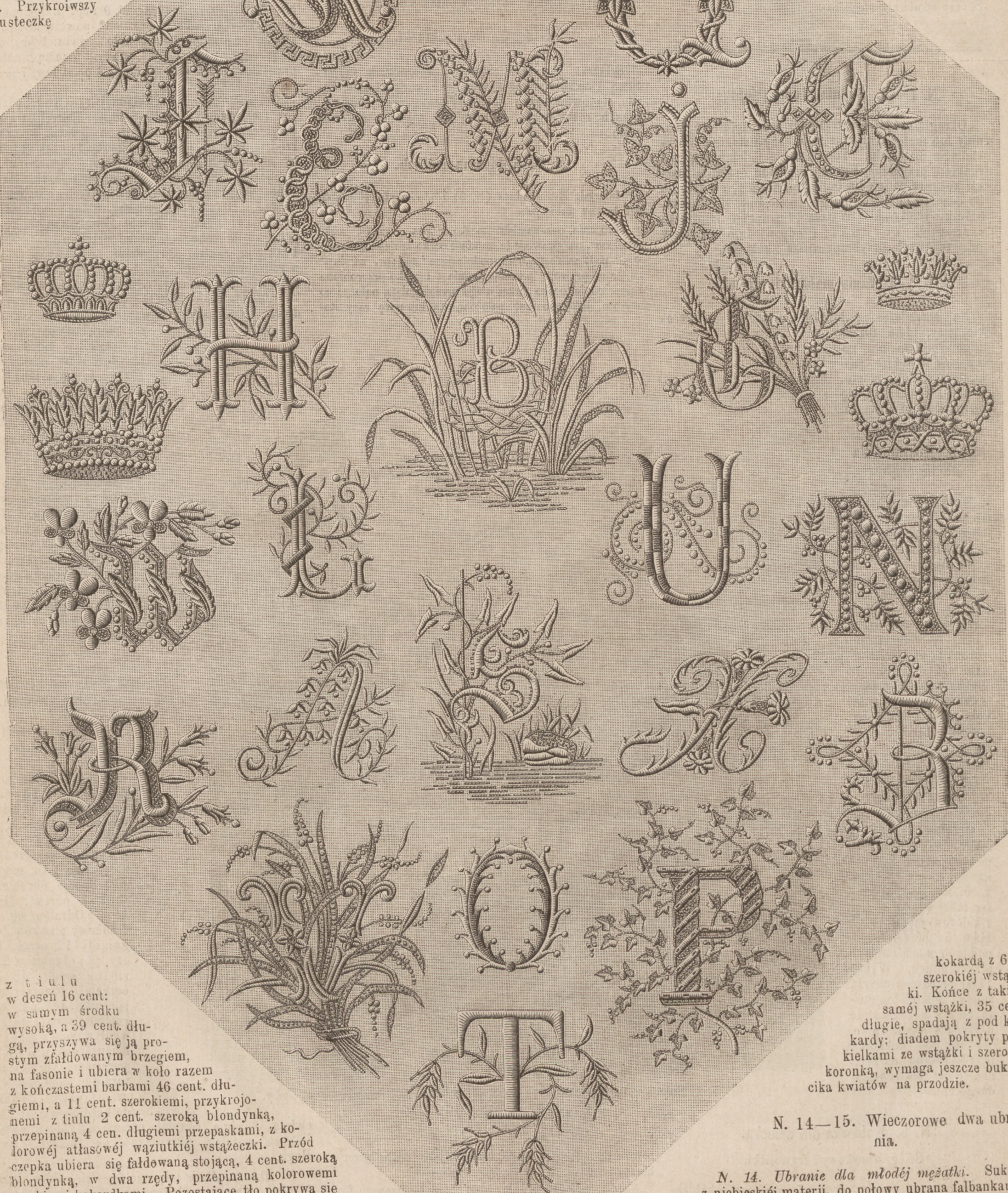
taszu i 3^o powietrznych. Zamiast kwaścików przy frendzli, wiąże się z grubych nici lub kordonku rodzaj deseniku, podług wskazówek ryciny.

N. 12—13. Dwa czepeczki dla starszej osoby.

Czepeczek z chusteczka. Jako podstawę czepek bierze się fasonik z sztywnego tiulu 1 $\frac{1}{2}$ cent. na końcach szeroki, z przodu 10 $\frac{1}{2}$ cent. wysoki, a 35 $\frac{1}{2}$ cent. długi; fason ten pokrywa się blondynowym tiulem, oszywa drutem w około i oblamowuje kolorową wstążką. Przykrojszy chusteczkę

N. 13. Ubranie na głowę dla starszej osoby.

Jako podstawę bierze się 12 cent. długi, a 9 cent. wysoki kawałek czarnego sztywnego tiulu, na poprzecznych stronach zaokrąglony, który się w koło sztywnym drutem oszywa. Dwa kawałki tiulu sztywnego 1 cent. szerokie, jeden 34 cent. a drugi 40 cent. długi, drutem podłożone, okręcają się 2 c. szeroką kolorową wstążeczką; oba te kawałki formują obydwie zęby ubrania, blondynką 2 c. szeroką oszyte, które przyczepione do diademu, kończą się u dołu



z tiulu w desen 16 cent; w samym środku wysoka, a 39 cent. długą, przyszywa się ją prostym zfałdowanym brzegiem, na fasonie i ubiera w koło razem z kończastymi barbami 46 cent. długimi, a 11 cent. szerokimi, przykrojszonymi z tiulu 2 cent. szeroką blondynką, przepinaną 4 cen. długimi przepaskami, z kolorowej atlasowej wążutkiej wstążeczki. Przód czepek ubiera się fałdowaną stojącą, 4 cent. szeroką blondynką, w dwa rzędy, przepinaną kolorowymi wążkami kokardkami. Pozostające tło pokrywa się podług wskazówek ryciny, szeroką koronką i kokardą ze spadającymi 2 i pół cent: długimi atlasowymi końcami.

kokardą z 6 c. szerokiej wstążki. Końce z takiej samej wstążki, 35 cen. długie, spadają z pod kokardy; diadem pokryty pukielkami ze wstążki i szeroką koronką, wymaga jeszcze bukietu kwiatów na przodzie.

N. 14—15. Wieczorowe dwa ubrania.

N. 14. Ubranie dla młodej mężatki. Suknia z niebieskiej materji, do połowy ubrana falbankami z tego samego materiału. Tunika aksamitna niebieska, białą materją podszyta, ubrana białymi atlasowymi rulonikami, podpina się herbacianymi różami,

Głęboko, podłużnie wycięty stanik jedwabny ma skrzyżowaną na przodzie bertę, formującą zarazem rękawek z białej koronki i niebieskiej aksamitki z białą wypustką. Białe kokardy, z różami zdobią ramiona; we włosach białe pióra i róże.

N. 15. *Ubranie dla młodej panienki*. Na sukni fularowej w rzucik, idzie tunika z przezroczystego materiału, podpięta girlandą z róż idącą od paska. Bukiet z róż spina na przodzie bertę z koronki i różowych pukielków; girlanda z róż wiję się między lokami. Tunika ta



N. 6. Szlaczek wyszywany.

może być z Crêpe de Chine, gazy, tiulu, tarlatanu, lub muslinu.

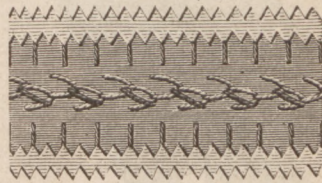
N. 16. Woreczek na drutach.

Materiał: 2 motki zielonego, 3 motki czarnego i 1 motek białego kordonku; 2 sznurki stalowych paciorki (N. 5.) i stalowa klamerka.

Woreczek ten robi się na cienkich, drutach, z pojedynczych kwadratów wypływających jeden z drugiego, z dwóch lub więcej cieni, które zdają się być plecione, jak to zmniejszony format przedstawia. Na modelu w trzech cieniach, spód uformowany jest z 8 razem odrobionych i stalowymi paciorkami ozdobnych kwadratów z czarnego kordonku. Na każdy kwadrat, odrobienia się 13 oczek tam i na powrót, jak w gładkiej pięcie u pończochy, 24 rządków. W 6 rządku środkowym dają się 4 paciorki skrzyżowanymi oczkami wrobione, i na prawą stronę wystające ostatnie oczka kwadratu, nieoblańcuszkowują się, tylko przewłóczą, na mocną nitkę. Brzeżne oczka kwadratu z boku nabierają się na drut, jak przy robocie pięty i odra-



N. 5. Kolderka dla dziecka.



N. 7. Szlaczek wyszywany.

zielony, potem czarny, aż do brzegu woreczka, wszędzie opisanym sposobem złożone. Przy górnym brzegu, który musi być prosty, wypełnia się gdzie braknie zielonemi trójkątami w których oczka tak równo powinny się gubić na brzegach, aby na 12 oczkach zaczęty trójkąt, na 1 ocz. powinien się kończyć. Na 6 cent. szerokiej i 2 i pół cent. wysokości klamerce, przycięta się górny brzeg woreczka, paciorkami przyszywany. Żeby nadać woreczkowi lepszą formę, trzeba końce klamerki przyszyć na białych kwadratach, kilkoma ściegami, przez co na każdej połowie, tylko trzy czarne kwadraty z pod klamerki wystają, a czwarte w fałdzie się ukrywa.

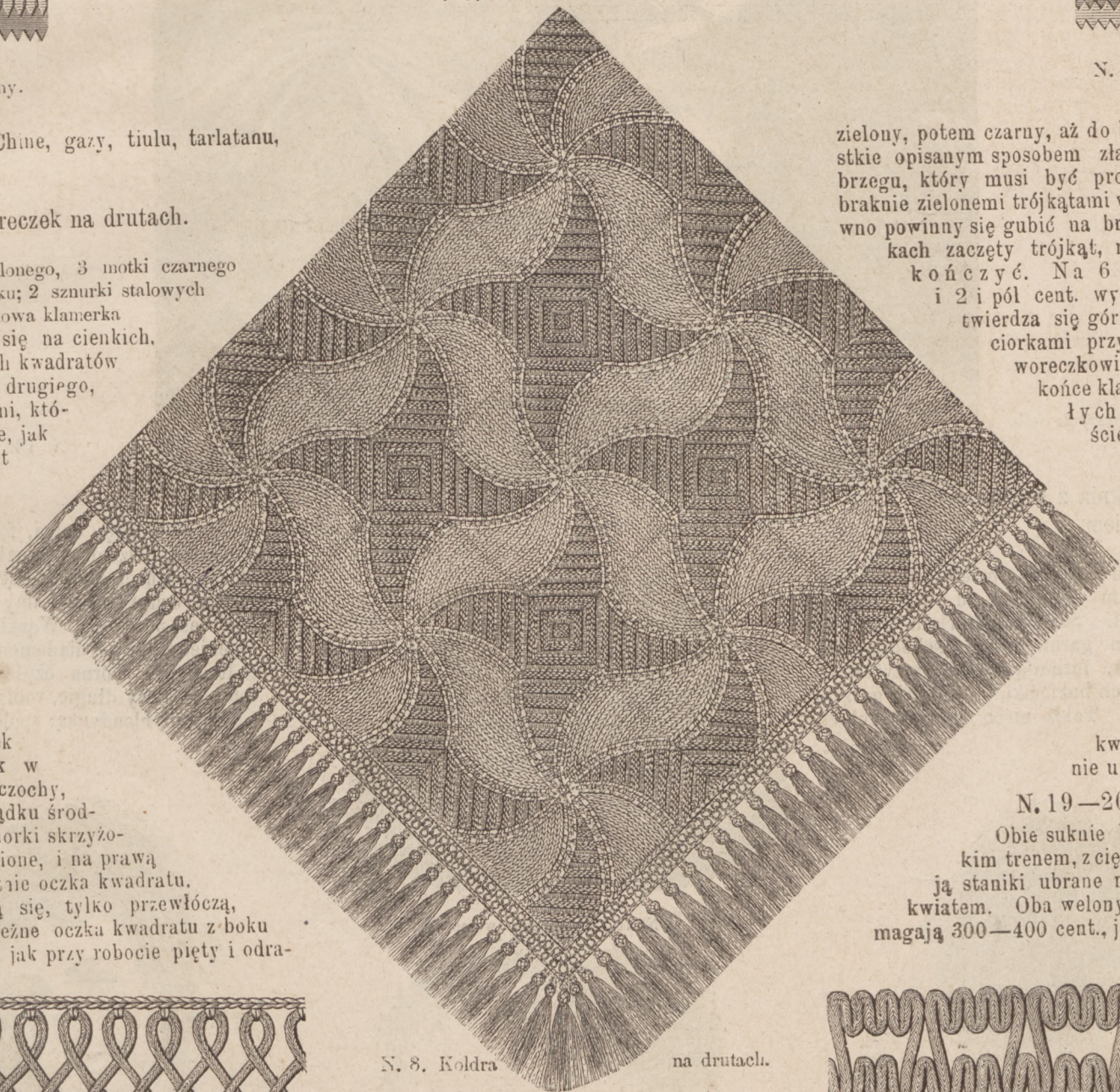
N. 17 — 18.

Dwa ślubne wieńce.

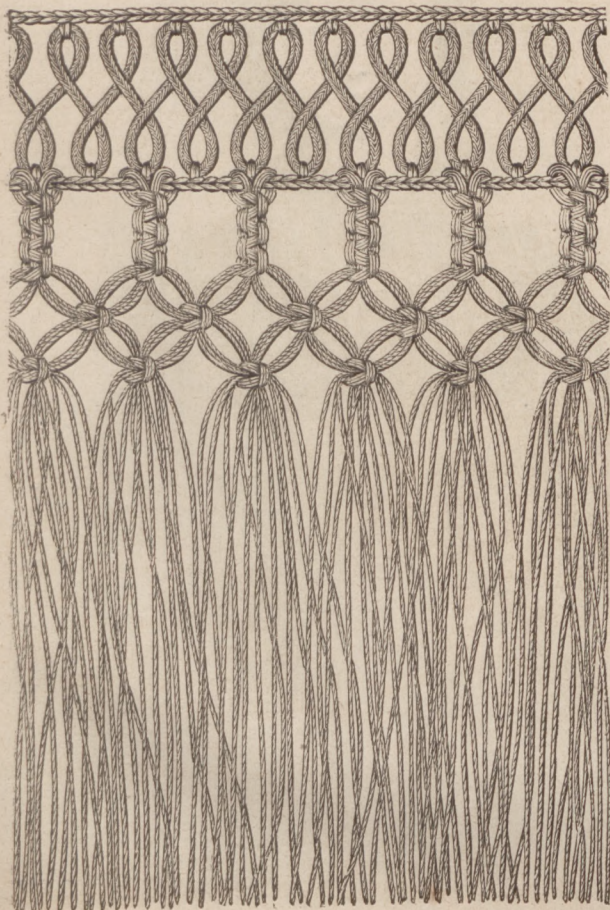
Obie ryciny, przedstawiają wieńce z myrtu kwitnącego bardzo zręcznie uwite.

N. 19 — 20. Dwa ślubne ubrania.

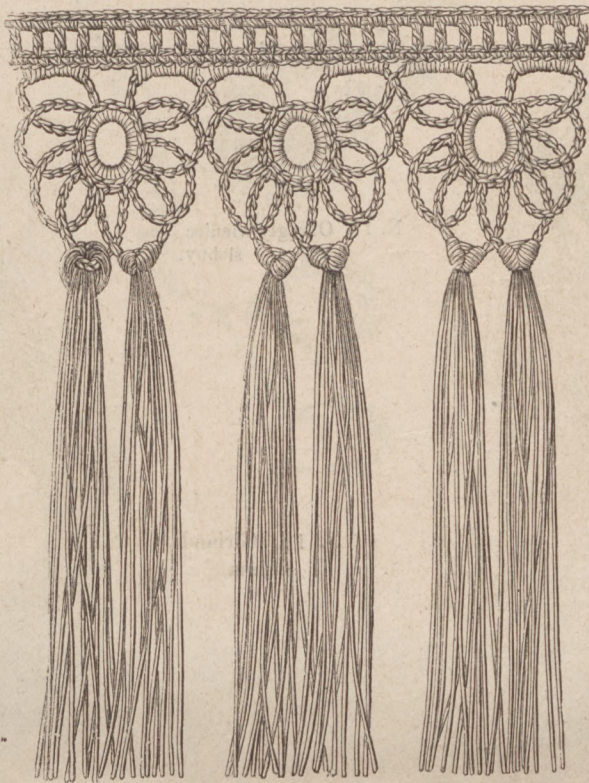
Obie suknie bez ubrania, ale z wielkim trenem, z ciężkiej białej materji, mają staniki ubrane myrtą i pomarańczowym kwiatem. Oba welony z tiulu „illusion” wymagają 300—400 cent., jeden dany „à la Rachel”



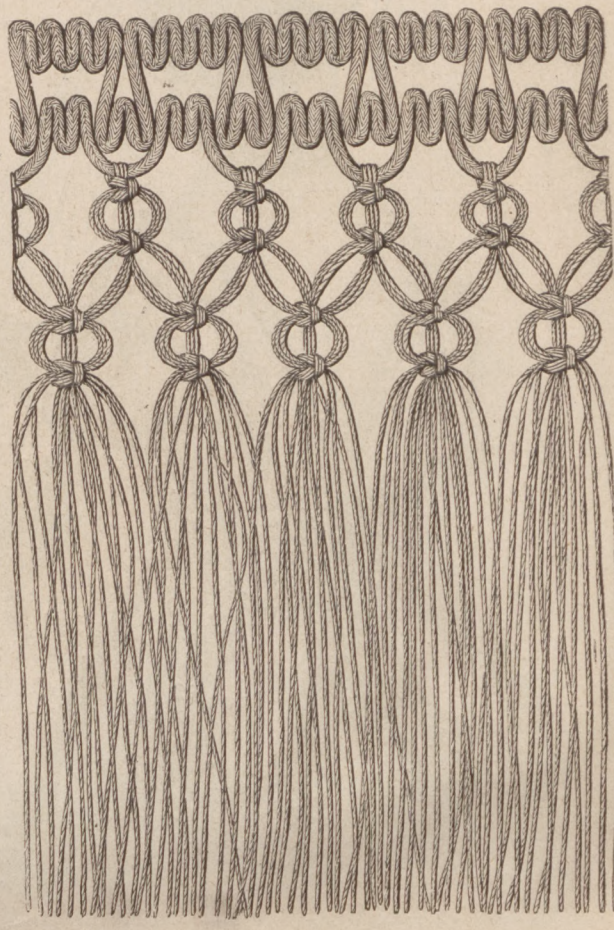
N. 8. Koldra na drutach.



N. 10. Frendzla wiązana.



N. 9. Frendzla szydelkowa.



N. 11. Frendzla wiązana

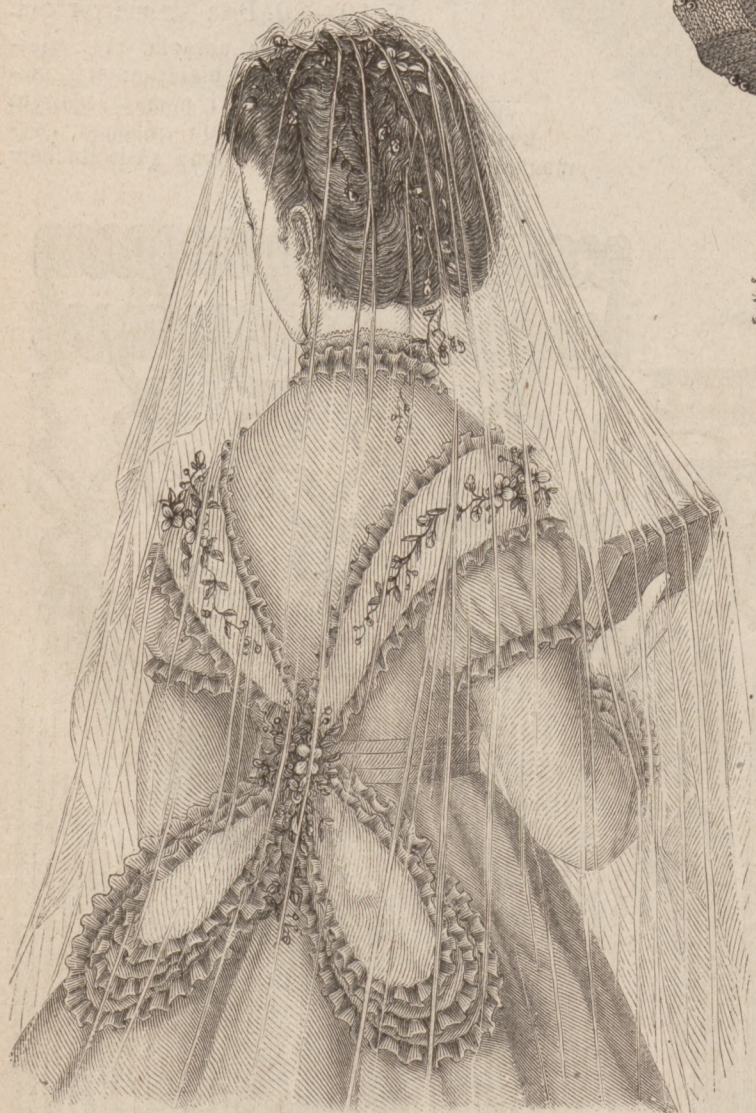
spada do tyłu, poczynając od wieńca; drugi „à la religieuse,” twarz osłaniając dochodzi kolan na przodzie, a z tyłu, sięga obrębu sukni. Welon taki niepotrzebuje ani szlaków, ani obrębiania. Przykrojony ze sztuki stosownie do wzrostu osoby na 300—500 cent. ułożony na figurze, żeby ją niby mgłą pokrywał, tylko na spiczastych końcach, okrągło powinien być ścięty.



N. 12. Czepiec dla starszych osób.

N. 19. Ślubna suknia z szelkowem ubraniem.

Gładki stanik pod szyję, ma paletotowe rękawy, ubrane przy ramieniu bufą, u dołu małymi falbaneczkami. Szelki z materiału wierzchniego, z odpowiednim garnirunkiem, schodzące się z przodu przy pasku, formują w tyle zkrzyżowane szarfki. Na ramionach bukietniki, od których gałązki aż na szelki spadają. Także nieco większy bukiet,

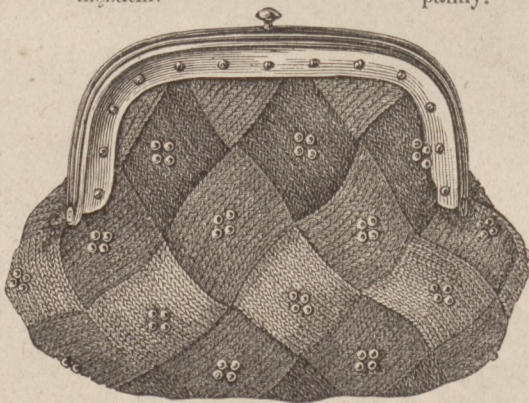


N. 19. Ślubna suknia z szelkowem ubraniem.

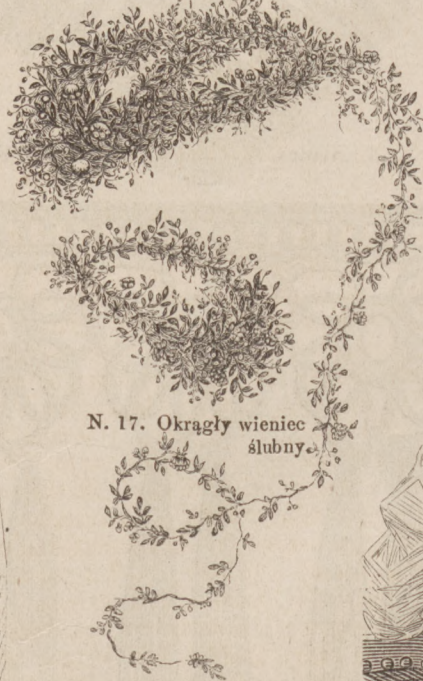


N. 14. Ubranie młodej meżatki.

N. 15. Ubranie młodej panny.



N. 16. Szydełkowy woreczek.



N. 17. Okrągły wieniec ślubny.

N. 18. Girlanda ślubna.

spina szarfki w tyle. Od wieńca idące gałązki, upinają się we włosach; welon „à la religieuse”.

N. 20. Ślubna suknia z gorsecikiem.

Górna część stanika, układa się w gęste zakładki, na-



N. 13. Ubranko dla starszej osoby

śladową bluzkę; dolna, formuje rodzaj gładkiego gorsecika. Ozdobne gałązki kwiatów otaczają brzeg bluzki, odznaczając lewą stronę większym nieco bukietem, drugi taki widzimy przy pasku, a trzeci mały dany jest pod szyją. Wązki rękaw ubrany epoletami. Wieniec ślubny z diademem i gałązkami. Welon „à la Rachel.” Górna część stanika w rodzaju szmizetki i rękawy długie, robią się z tiulu jedwabnego i garnirują blondynką; epolet daje się jedwabny.



N. 20. Ślubna suknia z gorsecikiem.